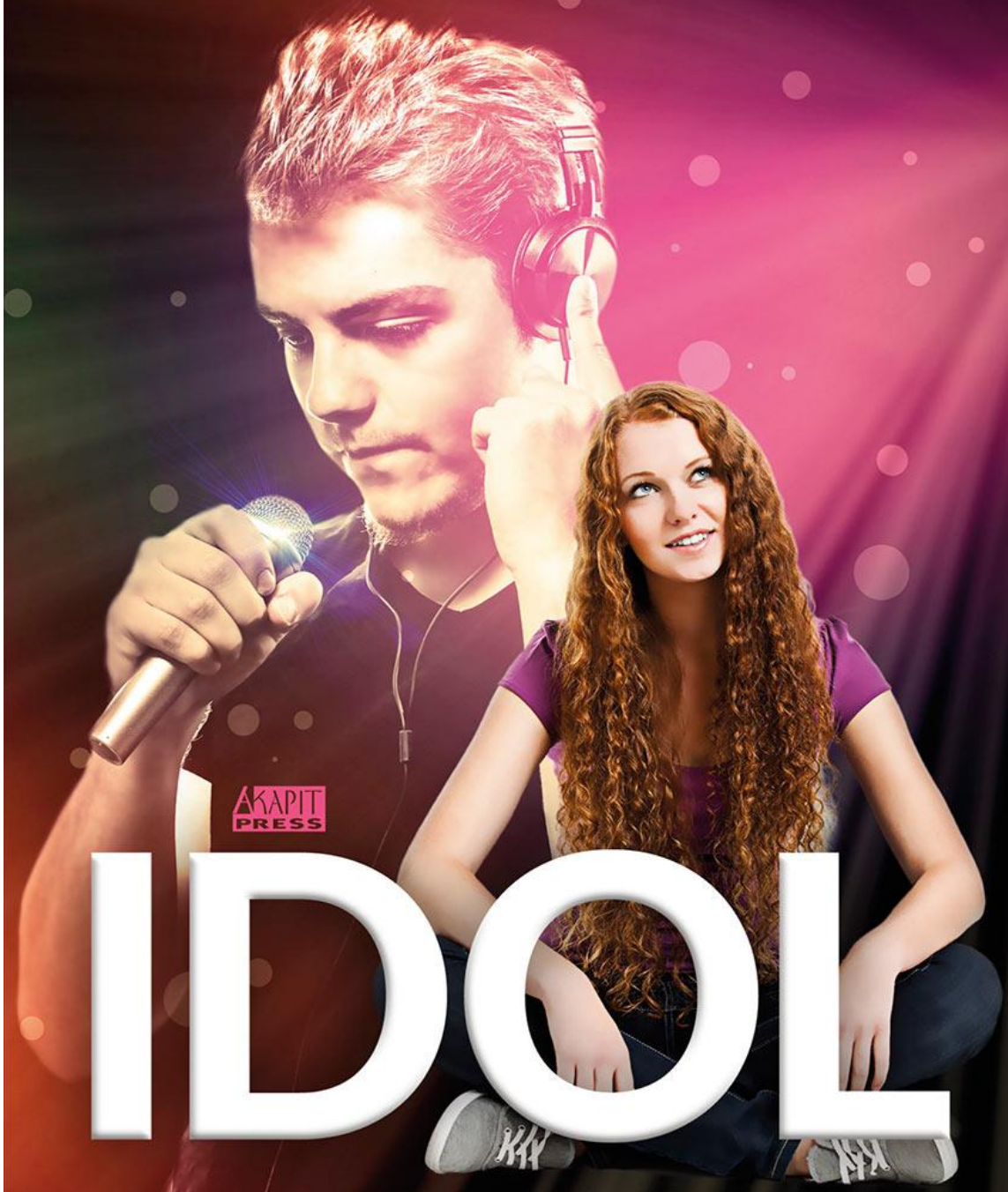


MARTA FOX



Idol, dobre słowo. Lubisz się podobać, i to wszystkim.
Ja też bym chciała. Ale najbardziej tobie.

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna 1. Mam dla ciebie prezent 2. Proszę, powiedz, kim jestem 3. Mogła się nie wygłupiać i nie uciekać 4. Lafirynda 5. Karol Zdobywca Pierwszy 6. Mieć czy być? 7. Krótka odpowiedź 8. Wagary z teatrem 9. Dwa worki kartofli 10. Czy pani była ze mną umówiona? 11. Idol 12. Blog 13. Drugie spotkanie z Idolem 14. Wariatka albo samobójczyni 15. Kłębek drutu kolczastego 16. Pogubiłam się! 17. Prostowanie ścieżek Podziękowania

MARTA FOX

IDOL

AKRIT
PRESS

Copyright © by Marta Fox

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Redakcja:
Witold Kowalczyk

Korekta:
Joanna Lewandowska,
Magdalena Granosik

Wydanie I, Łódź 2016

ISBN 978-83-65345-28-8

Na okładce wykorzystano zdjęcia iStock by Getty Images
fot. jaron, fot. stsmhn

Akapit Press Sp. z o.o.
ul. Łukowa 18 B, 93-410 Łódź
tel./fax 42 680 93 70
www.akapit-press.com.pl
zamawiam@akapit-press.com.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

1. Mam dla ciebie prezent

Sonia od dwóch miesięcy myślała o dniu, w którym skończy siedemnaście lat, i wyobrażała go sobie na różne sposoby. Bynajmniej nie dlatego, że pragnęła urodzinowej imprezy. Wręcz przeciwnie, obwieściła rodzicom, że nie chce świętować tradycyjnie, w zamian wolałaby wyjechać na sobotę i niedzielę do Krakowa. Powiedziała, że zaprosiła ją koleżanka, z którą na razie przyjaźni się wirtualnie, bo na Facebooku. Pokazała nawet profil koleżanki na portalu, czym uwiarygodniła swój wyjazd. Nie chciała opowiadać za dużo, bo w szczegółach można się łatwo pogubić, zwłaszcza kiedy niektóre fakty się przemilcza.

Rodzice zgodzili się bez dodatkowych pytań, być może roześmiane oczy koleżanki obecnej na fejsie jako Zuza Sarenka nie wzbudzały żadnych wątpliwości. Sonia dostała całe trzysta złotych gotówką, więc mogła być zadowolona. Obiecała, że zatelefonuje zaraz po przyjeździe i nazajutrz, kiedy będzie już siedziała w pociągu do domu. Babcia Nina przygotowała kanapki, jakby wnuczka wybierała się na długi rajd po górach, kiedy to warto mieć przy sobie zapas jedzenia i picia.

W sobotni rano świeciło słońce. Rodzice Soni odsypiali piątkowy wieczór spędzony u przyjaciół, siostra, Aniela, też spała, bo zawsze lubiła długo spać, w przeciwieństwie do cioci Reny, schorowanej staruszki, siostry babci Niny. Ciocia Rena większość dnia spędzała na wózku inwalidzkim, ale była jeszcze na tyle sprawna, że z pomocą kul sama w nim siadała. Starsze panie zajmowały dwa pokoje na parterze domu pod lasem, choć ciągle w mieście, a Sonia z rodzicami i siostrą mieli dla siebie całą górę, gdzie były cztery niewielkie pokoje. Największy stanowił sypialnię rodziców, w której mama wygospodarowała sobie miejsce na biurko i dwa regały na książki. Najmniejszy zajmował ojciec, starczyło w nim miejsca tylko na półki z książkami, biurko i fotel. Siostry urządziły się w średniej wielkości pokojach, Soni z racji starszeństwa przypadł nieco większy.

Babcia Nina patrzyła, jak wnuczka zamyka furtkę, zarzuca na ramię mały plecak, który pomieścił szczoteczkę do zębów, dezodorant, dwa komplety bielizny, T-shirt, a także tablet i telefon komórkowy, nie licząc babcinych kanapek. Sonia nie odwróciła się, nie pomachała, jak miała w zwyczaju. Głowę wtuliła w ramiona, czy to z zimna, czy z niepewności przed tym, co się może wydarzyć. Ręce trzymała w kieszeni kurtki, w prawej ścisnęła telefon, jakby ten uścisk miał przyspieszyć przyjście SMS-a, na który czekała. Telefon jednak nie wibrował.

Termometr na zewnątrz kuchennego okna pokazywał minus trzy stopnie. Babcia Nina wyjrzała przez nie, by przypomnieć wnuczce o założeniu czapki, ale zamknęła je szybko, bo przecież nie było sensu przypominać o tym komuś, kto czapek nie cierpiał, i trzeba było naprawdę wielkiego mrozu, by je nosił. Miedziane włosy Soni zamajaczyły za zakrętem.

Ma kaptur, pocieszyła się babcia i zaczęła się krzątać po kuchni. Zerwała kartkę z tradycyjnego kalendarza przypiętego do jednej z szafek. Czternasty lutego, świętego Walentego, uśmiechnęła się do siebie, a bardziej do męża, który zmarł trzy lata temu. Rozmyślała o nim nieustająco. Przysiadła przy stole pod oknem, gdzie zawsze rano razem popijali kawę z mlekiem. Podążał za młodymi, pomyślała, świętował także walentynki, a nie tylko Dzień Kobiet. To wspomnienie zachęciło ją do tego, by przygotować domownikom miłośnie ozdobione śniadanie. Szkoda, że Soni z nimi nie będzie, ale wiadomo, że jak się uprze, to postawi na swoim. Najważniejsze, by była po swojemu zadowolona.

Przystanek autobusowy był pusty, więc zapewne autobus odjechał dwie minuty przed czasem. Sonia spojrzała na rozkład jazdy; następny miał być za piętnaście minut, postanowiła więc przejść na główną ulicę, bo tam kursowało kilka innych linii. I rzeczywiście, kiedy po siedmiu minutach doszła na miejsce, na przystanek podjeżdżał autobus linii numer 10, który także zatrzymywał się w podziemiach katowickiego dworca. Nie musiała się śpieszyć, miała zapas trzydziestu minut, nigdy nie wychodziła na ostatnią chwilę. Będzie mogła spokojnie kupić bilet do Krakowa i rozejrzeć się po dworcowych sklepikach.

Po dwudziestu minutach wysiadła na dworcu, ale telefon nadal nie

wibrował. Zerknęła na ekran z nadzieją, że może tylko tego nie poczuła. Kusiło ją, by wysłać SMS-a, ale uniosła się dumą. Poczekaj, nie pokaże nadgorliwości ani zdenerwowania. Przy kasach było tylko kilka osób, więc najpierw kupiła sobie małą kawę w jednym z bufetów i popijała powoli, spacerując po dworcu. Niepokój w niej narastał, minuty upływały, nieokreślony żal łapał ją za gardło. Pozostało dziesięć minut do odjazdu pociągu, więc podeszła do kasy.

– Dokąd się pani wybiera? – usłyszała znajomy głos i odwróciła się radośnie.

– Jesteś, a już myślałam, że pojedę sama.

– Pojechałabyś? – Karol zapytał z niedowierzaniem.

– Jasne, lubię Kraków, poza tym to moje urodziny i chcę je świętować właśnie tam.

– Wiem, wiem, nie musisz przypominać, przecież się umówiliśmy – powiedział.

– Dwa bilety do Krakowa ze zniżką szkolną – zwrócił się do kasjerki.

– Proszę. – Sonia podała Karolowi odliczoną kwotę.

– Skąd wiesz ile?

– Jeżdżę, to wiem.

– Biegniemy, zostało nam pięć minut do odjazdu.

– Spoko, zdążymy, to pierwszy peron. – Sonia bardziej udawała wyluzowaną, niż była naprawdę.

Weszli do pustego przedziału, pociąg ruszył i nikt do nich nie dołączył. Sonia usiadła przy oknie, Karol naprzeciw. Uśmiechnęła się, choć wolałaby, aby siedział obok, przytulił lub choćby tylko dotknął jej ramienia.

– Jak mi się nie chciało rano wstać... Gdyby nie to, że mam klucze od mieszkania kumpla, to nie wiem, czybym się obudził.

– Twój kolega naprawdę wyjechał i naprawdę będziemy się mogli rozgościć w jego mieszkaniu na noc?

– No jasne i to od razu po przyjeździe, bo kumpel z dziewczyną jest od wczoraj u mnie i wróci dopiero jutro o siedemnastej. Spotkamy się wtedy na dworcu i oddam mu klucze. Wszystko obmyślane w szczegółach. – Karol mówił to tak, jakby nieraz wymieniał się

z kolegą mieszkaniem i kluczami.

– Niesamowite – westchnęła Sonia.

– Co jest niesamowite?

– Ta wasza precyzja czasowa i to, że w ogóle możecie zrobić coś takiego, u mnie by to nie przeszło, na dole mieszka babcia ze swoją siostrą, zawsze ktoś jest w domu.

– To znaczy, że nie możesz nikogo gościć?

– Mogę, czemu nie, ale nie mogłabym tak po prostu oddać komuś kluczy.

– Tak bywa, jak się rodzicom wisi na karku.

– A ty nie wisisz?

– Już niedługo skończę osiemnaście lat, starsi obiecali mi mieszkanie, jak tylko dostanę się na studia. Na razie muszę wytrwać.

– Czyli teraz rodziców nie ma w domu i dlatego mogłeś zaprosić kolegę, dobrze myślę?

– Po prostu wymiana usług. Koleś chce zobaczyć Katowice i się zabawić, a my Kraków, prawda? Starsi pojechali do Pragi na weekend i wrócą w niedzielę, w nocy, czyli wszystko gra.

– I nie wiedzą o tej zamianie? – dociekała Sonia.

– Przestań węszyć, obiecałem, że zabiorę cię do Krakowa, i słowa dotrzymuję.

– Dobrze, dobrze, po prostu lubię wiedzieć co i jak. Czy twój kolega mieszka sam?

– Nie wiem, nie pytałem. Coś taka podejrzliwa? Ciekawe, co ty powiedziałaś w domu.

– Prawdę, że jadę do Krakowa.

– Powiedziałaś, że ze mną?

– Nie, skłamałam, że do koleżanki. – Sonia spojrzała w okno.

– A widzisz, a mnie się czepiasz. Ja nie kłamałem, po prostu nic nie mówiłem.

– No tak, to bezpieczniejsze, ale ja musiałam jakoś wytłumaczyć swój wyjazd w dniu urodzin i w dodatku na noc, więc skłamałam podwójnie, bo jeszcze powiedziałam, że będę spać u koleżanki z Facebooka.

Głos Soni zadrżał. Karol to zauważył. Przesiadł się i objął ją

mocno. Odsunął jej długie miedziane włosy z twarzy i spojrzał prosto w oczy.

– Soniu, nie przejmuj się, nie miałaś wyjścia, musiałaś skłamać. Przecież chcieliśmy wyjechać i być sami, prawda? Spotykamy się od pół roku, tak na pół gwizdka, i naprawdę już pora zaszaleć. A ty zawsze masz jakieś „ale”. Ale mama, ale siostra, ale babcia. Może pora się nimi nie przejmować? Kochasz mnie?

– Tak – odpowiedziała bez wahania.

– I dlatego mam dla ciebie prezent. – Karol zawiesił głos wyczekująco.

– Dlatego? – Zawahała się, ale po chwili zarzuciła Karolowi ręce na szyję i już nie oczekiwała odpowiedzi. – To będzie piękny dzień – szepnęła mu do ucha, jakby przedział był pełen podsłuchujących.

Karol przygarnął ją, pocałował najpierw w szyję, potem w usta. Sonia złagodniała, rozluźniła się, bo lubiła się całować z Karolem. Wprawdzie nie zdarzało im się to często, bo rzadko byli sam na sam, mimo że chodzili do tego samego liceum, tylko Karol klasę wyżej. Szkoła już nawet nie huczała na ich temat, bo wszystkim to spowszedniało. Ot, kolejna para, która nie ukrywa swoich uczuć i spotkań. Sonia dbała, by nie obnosić się z uczuciami. Nie lubiła plotek, podpatrujących oczu. Raczej nie zwierzała się też koleżankom, choć od czasu do czasu musiała coś powiedzieć o Karolu, aby zaspokoić ciekawość natarczywie dopytujących, jak było. Wznosiła wówczas oczy do góry, co znaczyło, że cudnie. Konkrety, konkrety, ponaglały koleżanki. Opowiadaj, jak całuje. Najlepiej na świecie, odpowiadała, jakby całowania doświadczyła co najmniej z tuzinem chłopaków i miała porównanie.

Nie było w szkole dziewczyny, której Karol by się nie podobał. Wysoki, czarnooki, czarnowłosy, wysportowany. I miał w sobie coś wabiącego, czy to w spojrzeniu, czy w uśmiechu. Wchodził do szkoły i od razu zwracał na siebie uwagę. Z nonszalancją rzucał plecak albo przeczesywał grzywkę spadającą na oczy. Poza tym znał się na komputerach jak mało kto. Był komputerowym guru i nawet nauczyciel informatyki korzystał z jego wiedzy, bo Karol był na bieżąco z najnowszymi grami, a także najstarszymi wersjami sterowników

potrzebnych do uruchomienia nie najnowszych, ale ciągle sprawnych laptopów.

Sonia też zwracała na siebie uwagę, choć nic specjalnego w tym kierunku nie robiła. Miała jednak atut, którego nie sposób było nie dostrzec: burzę złocistomiedzianych, w dodatku długich i niesfornie kręcących się włosów. To była uroda dana przez Boga, jak mawiała babcia Nina, chcąc zachęcić wnuczkę do tego, by urody nie ulepszała makijażem. I rzeczywiście – nie ulepszała za bardzo. Lubiła tylko, by błyszczały jej usta, więc powlekała je bezbarwną szminką lub kolorowym błyszczkiem. Ostatnio zaangażowała się w redagowanie szkolnej gazetki. Pisała zadziorne teksty o piosenkarzach i aktorach, także o pisarzach, którzy mieli ciekawe, a czasem nawet sensacyjne życie.

– Zobaczę wreszcie ten prezent? – ponagliła Karola.

Karol wstał, wyprostował się, zamknął oczy, zamachał rękami, jakby był iluzjonistą i przymierzał się do wyciągnięcia królika z kieszeni spodni. Włożył do nich rękę i wy dobył dwa duże klucze na zielonej smyczy.

– Tadam! – Położył je na kolanach Soni.

– To jest prezent? – Sonia nie ukrywała swojego rozczarowania.

– A co? Zły? Wiesz, ile się nagłówkowałem, by wszystko zgrać i położyć ci klucze na kolanach?

Sonia milczała.

– No tak, a kiedy mówimy, że baby to materialistki, to się oburzacie. No dobra, zamierzałem ci jeszcze kupić kwiatka na krakowskim rynku. Lepiej? – Karol zreflektował się, że mógł pomyśleć o jakimś drobiazgu, więc na poczekaniu wymyślił kwiatek.

Sonia nie przytaknęła. Odwróciła głowę w bok i patrzyła w okno.

– Lepiej? – powtórzył Karol. – Co to za foch?

– OK, nie musisz kupować, teraz to się już nie liczy, wystarczą mi klucze – burknęła, nie odwracając głowy od okna.

2. Proszę, powiedz, kim jestem

Inaczej wyobrażała sobie spotkanie na dworcu i wspólny wyjazd. Po cichu liczyła na to, że Karol powita ją czerwoną różą albo maskotką. Różę mogłaby zasuszyć, choćby tylko płatki, a maskotkę nosić przy sobie. Romantyczne fotki pokazałaby koleżankom. Tymczasem Karol nazwał ją materialistką, którą w swoim mniemaniu nie była. Postanowiła nie wracać do tematu, nie zepsuć sobie dnia. Bardzo jej zależało na Karolu, tak przynajmniej sobie powtarzała.

Od kiedy zaczęli się spotykać, dziewczyny w szkole liczyły się z nią, patrzyły z zazdrością, ale też z podziwem. Czuła, że nic się w niej nie zmieniło, a akcje poszły w górę, jakby to Karol dodał jej wartości. Przypomniła sobie, co ciocia Rena mówiła po śmierci szwagra, czyli męża babci. Teraz będzie nam trudniej, kochana, bo wdowa czy rozwódka to kobieta niepełna. Sama była wdową od wielu lat, w dodatku bez dzieci. Sonia oburzała się na takie gadanie, nazywając je staromodnym głędzeniem. Teraz przyznawała, że trochę racji ciocia jednak miała. Bycie dziewczyną Karola zapewniało podziw otoczenia, a może i szacunek.

– Głodny jestem. – Karol przerwał jej rozmyślenia i odłożył telefon, w którym czytał posty na Facebooku.

Sonia spojrzała pytająco i zdjęła plecak z górnej półki.

– No, co się dziwisz, jestem głodny, bo nie zdążyłem zjeść śniadania – odpowiedział na pytające spojrzenie.

Wyciągnęła kanapkę zawiniętą w srebrny papier.

– Tadam! – powiedziała, kładąc mu jedną na kolanach.

Odwinął łąpczywie i zjadł równie szybko.

– Dobrze. – Uśmiechnął się. – Sama robiłaś?

– Oczywiście – skłamała.

– Ooo, to już wiem, kto mi jutro poda śniadanie do łóżka.

– Nie ja. – Roześmiała się Sonia.

– Dobra dziewczyna by tak nie odpowiedziała.

– W takim razie jestem złą dziewczyną.

– Żartowałem. – Karol wytarł usta ręką i patrzył wyczekująco.

– OK, rozumiem, chcesz jeszcze jedną. – Sonia ponownie sięgnęła do plecaka.

Wyciągnęła też butelkę wody mineralnej, do której Karol od razu się przyssał. Wypił więcej niż połowę, zanim się zorientował, że wypada coś zostawić Soni. Zakręcił butelkę, postawił na stoliku, ale Sonia po nią nie sięgnęła.

– Zobacz, jaki piękny krajobraz za oknem, szadź na krzakach i drzewach, na trawach, po prostu bajkowo.

– Aleś ty romantyczna, lepiej podziwiaj mnie.

– Chciałabym pójść na spacer, obejść rynek wkoło, zajrzeć do bazyliki Franciszkanów, do Sukiennic – mówiła dalej, nie zwracając uwagi na to, co powiedział Karol.

– A ja myślę tylko o tym, by jak najszybciej dojechać i znaleźć się w ciepłym mieszkaniu, co ty na to?

– Napiłabym się też gorącej herbaty, najlepiej w kawiarni, tak dużo ich w bocznych uliczkach przy rynku.

– Stroisz fochy, zamiast się cieszyć – powiedział zirytowany – i w dodatku patrzysz w okno, zamiast na mnie. Jaki masz problem? Co się zmieniło?

Sonia nie zareagowała.

– Przecież żadnej przerwy nie mogłem spędzić sam, zawsze za mną łąziłaś, byłem twoim idolem, i co, już nie jestem? Nie podobam ci się? – Tym razem starał się brzmieć milej.

– Idol, dobre słowo. Zauważyłam, że ty bardzo lubisz się podobać, i to wszystkim. Ja też bym chciała się podobać, ale najbardziej tobie.

– Już dojeżdżamy, zbierajmy się. – Karol zmienił temat.

Pogubili się w tej liczbie peronów, wejść i wyjść. Trafili do galerii handlowej, dopiero stamtąd na plac przed dworcem. Sonia wzięła głęboki oddech, spojrzała w jasne niebo, rozłożyła ręce, jakby chciała do siebie przyciągnąć całą przestrzeń wokół. Najkrótszą drogą skierowała się wprost na ulicę Floriańską, by jak najszybciej znaleźć się koło pomnika Mickiewicza, wśród kwiaciarek, gołębi, i móc spojrzeć na wieżę kościoła Mariackiego. Chciała pokazać Karolowi witraż Stanisława Wyspiańskiego *Bóg Ojciec – Stań się*, znajdujący się

w kościele św. Franciszka z Asyżu, w zachodnim oknie, nad chórem. Była pewna, że Karol go nie zna, i zrobi mu tym prawdziwą przyjemność. Zastanawiała się, czy nie odwlec tej chwili o godzinę, by witraż zobaczyć w pełnej krasie, podświetlony słońcem.

– Czy nie moglibyśmy pójść na spacer później? Zobacz, już jesteśmy przy ulicy św. Marka, zobaczymy, co nas czeka w mieszkaniu, zostawimy plecaki.

Sonia, jakby nie słyszała, szła szybkim krokiem, pełna energii, jakby na rynku miała na nią czekać co najmniej karoca z dyni. Karol dreptał krok za Sonią i wzbierała w nim złość. Wydawało mu się, że ma nad nią prawdziwą władzę, że jej imponuje, więc dziewczyna będzie się godzić na wszystko, co zaproponuje. Tymczasem ona miała swój plan i wyraźnie zamierzała go realizować.

– Nie marudź, idol, obejdziemy rynek wokół i otworzymy to tajemne mieszkanie, OK? – zaproponowała.

Przyśpieszył kroku. Na rynku podszedł do pierwszego kubła z różami i wybrał jedną, czerwoną. Podał Soni bez słów, bez życzeń. Wyraźnie się rozchmurzyła. No cóż, pomyślała, widocznie babcia Nina ma rację, mówiąc, że mężczyźni wolą czyny. Klucze, mieszkanie, róża bez słów. Cmoknęła go w policzek. Oto Karol, marzenie każdej dziewczyny w szkole, przyjechał do Krakowa w dniu jej urodzin, kupić różę, spędzą razem cały dzień i całą noc.

Poczuła ucisk w dołku. A może strach. Jakby otwierała zakazane drzwi. Coś jednak kazało jej iść dalej, czy to ciekawość, czy pragnienie, które dopiero zaczynała poznawać? Kiedy Karol był blisko, musiała poskramiać swoje gesty. Pragnęła tulenia i pocałunków, ale i odsuwała to od siebie. Teraz zgodziła się na wspólną noc, co znaczyło, że i na pożegnanie z dziewictwem. Aż tak naiwna nie była, by uwierzyć, że będą leżeć obok siebie i tylko patrzeć sobie w oczy. Już czas, powtarzała sobie, już czas. Większość koleżanek w klasie miała inicjację za sobą. Jak to było u Karola, nie wiedziała, nie pytała, a on był dyskretny, co dobrze o nim świadczyło.

Spacer zajął im nie więcej niż czterdzieści minut, po których doszli wreszcie do ulicy św. Marka. Stały przy niej same stare kamienice, niektóre puste, choć po remoncie, takie przynajmniej sprawiały

wrażenie. Sonia zatrzymała się przed numerem 34, gdzie wisiał szyld Szkoły Podstawowej numer 1 im. Komisji Edukacji Narodowej.

– Zobacz, to świetna szkoła, kończyła ją moja kuzynka. Stary budynek, cztery kondygnacje, ciekawe, jak jest w środku.

– Całe szczęście, że sobota, bo na pewno chciałabyś pozwiedzać.

– Pomyśl, chodzić do szkoły w historycznym miejscu, w pobliżu Teatru imienia Juliusza Słowackiego, w samym centrum Krakowa, przy Plantach.

– Ani trochę mnie to nie kusi, wolę nowoczesność, szkło i aluminium, a nie grube mury i ciemne lochy.

– Jasne, przecież ty jesteś człowiekiem komputerów i Internetu, a w grubych murach mogłoby nie być zasięgu. Co wtedy? Nuda?

Karol nie podjął wątku. Stanęli wreszcie przed drzwiami mieszkania mającego na dobę stać się ich dziuplą. Bez problemu otworzyli drzwi zamknięte na dolny i górny zamek. Znaleźli się w długim i ciemnym przedpokoju. Sonia zapaliła światło. Zobaczyli ściany pomalowane na ciemnozielono, obwieszane obrazami w złotych ramach, staromodną garderobę z dużym lustrem. Sonia spostrzegła pięcioro drzwi, poczuła zapach podobny do tego w sklepie z antykami, gdzie lubiła zaglądać razem z mamą. Zdjęła kurtkę, ale nie miała odwagi wejść dalej.

– W którym pokoju mieszka twój kolega?

– Patryk... Rozpoznamy, na pewno będą w nim sztalugi, bo on maluje, no i bałagan będzie, hehe... – Karol próbował śmiechem zagłuszyć onieśmienie.

Drzwi na lewo prowadziły do salonu, stamtąd – jak to w amfiladzie – do gabinetu z książkami. Drzwi po prawej otwierały dużą kuchnię z podłogą w czarno-białą szachownicę z kafli. Była jeszcze duża sypialnia gospodarzy i wreszcie pokój Patryka, z osobnym wejściem z przedpokoju, a w nim duży materac leżący w poprzek pokoju, nakryty brązowym futrzakiem. Pod oknem, bez firan, za to z roletami, stały sztalugi, stół z farbami, pastelami, blokami rysunkowymi.

– Czuję się jak złodziej – powiedziała Sonia.

– Dziwaczysz, przecież takie udostępnianie mieszkania to normalka. Nawet obcy ludzie to robią, to się nazywa *couchsurfing*.

– No tak, ale widzę, że Patryk mieszka z rodzicami, a oni nie wiedzą, że my tu jesteśmy.

– Komplikujesz proste sprawy, przecież nie będziemy zaglądać do szaf ani szuflad. Najwyżej do lodówki, na co mam pozwolenie Patryka. – Karol się roześmiał.

– Może masz rację, ale i tak czuję się nieswojo, chyba nie chciałabym, aby ktoś obcy buszował mi w pokoju podczas mojej nieobecności.

– Zamiast filozofować, lepiej zrobmy sobie herbatę – zaproponował Karol.

– Dobrze, zrobię herbatę – powiedziała Sonia, nastawiając czajnik do połowy wypełniony wodą.

Zajrzała do łazienki, która wyglądała jak salon łazienkowy: duża wanna i kabina prysznicowa, rzeźbione szafki i stolik o wygiętych nogach, a obok niego stary fotel z tapicerką w kolorze bordo. Całość była aranżacją przemyślaną w najdrobniejszych szczegółach. Nawet chusteczki higieniczne znajdowały się w koszyczku wyłożonym serwetką dzierganą z kordonka. Najpiękniejsze były jednak ogromne lustro w złotych ramach. W lustrze zobaczyła swoją bladą twarz. Może to tylko kwestia oświetlenia, a może prawdziwy odcień jej skóry, bo rzeczywiście nie czuła się za dobrze w obcym mieszkaniu i łazience pełnej staromodnego przepychu.

Nie mogła narzekać, w domu też miała wszelkie wygody, wannę na górze, prysznic na dole, dla wygody babci i cioci. Tyle że u nich było prościej, bardziej ascetycznie. Karol powiedziałby, że nowocześniej. Usiadła na brzegu wanny i zadzwoniła do mamy.

– Wszystko dobrze, mamo, Zuzka jest fajna, pogoda słoneczna, zaraz wychodzimy na spacer, koleżanka chce mi pokazać miejsca, których nie znam – wyrecytowała jednym tchem.

Rodzina odśpiewała jej *Sto lat*. Najgłośniej śpiewała siostra. Sonia podziękowała za życzenia, obiecała, że zadzwoni jutro, kiedy już będzie w pociągu. Starła się nie przedłużać rozmowy. Nie chciała, aby Karol pomyślał, że spowiada się mamie, a jeszcze bardziej obawiała się pytań rodziców, bo odpowiedzi wiązałyby się z kolejnymi kłamstwami. Umyła ręce i twarz. Poszła po szczoteczkę do zębów i pastę. Przez chwilę się

wahała, bo odruchowo chciała zostawić kosmetyki na brzegu umywalki, ale włożyła je do kosmetyczki, którą schowała na powrót do plecaka.

Kiedy wróciła do kuchni, zobaczyła, że Karol już przygotował kubki. Herbata ekspresowa stała na kuchennym blacie, Sonia nie musiała szukać w szafkach, więc wyraźnie jej ulżyło.

– Musimy kupić sobie coś do jedzenia, kiedy będziemy wieczorem wracać z miasta – powiedziała jak zapobiegliwa gospodyni.

Karol stał za nią, nie odwróciła się jednak. Wyciągnęła torebki z herbatą, odłożyła na talerzyk. Poczowała, jak jego chłodne ręce wędrują po plecach, w górę, potem zjeżdżają w dół, dotykają brzucha. Czowała na szyi oddech Karola.

– Herbatę wypijemy potem, teraz chodź. – Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą, do pokoju Patryka.

Poszła potulnie. Zamknął drzwi, opuścił rolety do połowy okien. Sonia zdjęła buty, rozpięła sweter. Nie wiedziała, co ma zrobić dalej. Nie miała odwagi rozebrać się przed Karolem, który śledząc jej niezdecydowanie, oczekiwał więcej.

– Rozbieraj się, Soniu – powiedział ciepło i prosząco.

– Sama? Nie mam odwagi.

– Przecież czekaliśmy na tę chwilę i rozmawialiśmy o tym.

Przytuliła się do Karola, zarzuciła mu ręce na szyję.

– To coś zupełnie innego rozmawiać, wyobrażać sobie, a coś innego to robić – szepnęła mu do ucha.

– Przytulimy się na łóżku.

– Materacu.

– OK, materacu.

Sonia zwinęła się w kłębek, jakby ta pozycja gwarantowała bezpieczeństwo. Kątem oka widziała, jak Karol też zrzucił buty, T-shirt, spodnie. Kocham go, powiedziała do siebie. Mogę to zrobić, bo go kocham, upewniła się. Karol przylgnął do jej pleców.

– Powoli – szepnął – powoli, nie musisz się bać, nie musimy się śpieszyć.

Odwróciła się nagle, wystraszona.

– Zamknąłeś drzwi? Bo wydawało mi się, że ktoś wchodzi.

– Nie bój się, zamknąłem.

- Lepiej sprawdź.
- Przestań świrować, nie psuj nastroju.
- Óóó... słyszę, że ktoś chodzi w przedpokoju.

Karol poderwał się, chwycił spodnie, zdążył je zapiąć, kiedy drzwi się otworzyły i wchodząca do pokoju kobieta głośno krzyknęła. Dobiegł do niej starszy pan, równie przerażony, jak ona.

– Przepraszam, przepraszam, wystraszyłam się, nie pukałam, bo mówił pan, że wnuka nie będzie w domu – zwróciła się do mężczyzny obok.

– Kim pan jest? – odezwał się mężczyzna. – Nie pytam, co pan tu robi, bo to widać.

Karol włożył T-shirt. Sonia siedziała skulona, ze spuszczoną głową.

– Jestem kolegą Patryka, wymieniliśmy się mieszkaniami, by poznać miasto – tłumaczył się wyraźnie speszony.

– Poznać miasto, też coś. – Korpulentna pani ochłonęła i postanowiła dać upust swojemu zgorzeniu: – Miasto najlepiej się zwiedza ze zdziwą w łóżku. Widział pan, dom schadzek sobie urządzili.

Sonia wstała, włożyła sweter i buty, plecak zarzuciła na ramię. Wymownie spojrzała na Karola.

– Może wyjaśnisz państwu tę sytuację i nie pozwolisz mnie obrażać – powiedziała.

– Co mam więcej powiedzieć, przecież wyjaśniłem.

– Panience trzeba plecak sprawdzić, zanim wyjdzie.

– Pani Krysiu, pani się już uspokoi i zabierze do mycia okien, jak uzgodniliśmy, a ja porozmawiam z młodymi. – Starszy pan próbował złagodzić sytuację.

Sonia otworzyła plecak, wytrząsnęła jego zawartość na materac.

– Proszę dobrze popatrzeć, nie jestem złodziejką – powiedziała. – Jestem, jestem... Karol, proszę, powiedz, kim jestem – mówiła, zbierając rzeczy. Ręce jej się trzęsły, tłumiała wściekłość, żal i łzy.

Karol milczał.

– Patryk to mój wnuk, nie uprzedził nas, że kogoś zaprosił, a córka, która wraca za trzy dni, zarządziła dzisiaj sprzątanie, dlatego przywiozłem panią Krysię – tłumaczył starszy pan. – Proszę się

uspokoić, zaraz ustalimy, co dalej.

Karol włożył skarpetki i buty. Sonia poczuła, że już dłużej nie zniesie tej konfrontacji i poniżenia, zdecydowanym krokiem wyszła do przedpokoju. Zdjęła kurtkę z wieszaka, nie śpieszyła się, licząc na to, że Karol ją zawoła, podbiegnie, ale tego nie zrobił. Dotykając poręczy, powoli schodziła po schodach, nawet zatrzymała się przy bramie. W kieszeni ścisnęła telefon, który nie zabręczał, choć znów miała nadzieję.

3. Mogła się nie wygłupiać i nie uciekać

Karol czuł niezgrabność swoich ruchów, kiedy wiązał buty. Z trudem się podniósł, jakby na plecach targał wór kamieni. Zniknęła jego przebojowość, pojawił się wstyd zmieszany ze złością. Był wściekły na Sonię, która uniosła się dumą i wyszła, zostawiając go na pastwę obcych ludzi. Był wściekły na Patryka, który nie uprzedził go, że klucze do mieszkania mają nie tylko rodzice, z którymi mieszkał, ale i dziadkowie. Złorzecząc po cichu, życzył mu, aby znalazł się w podobnych tarapatach. Był wściekły także na babę, która potraktowała Sonię jak dziewczynę z agencji towarzyskiej. Zupełnie nie rozumiał, dlaczego zabrakło mu słów, by się obronić.

– Co za nieporozumienie, co za niezręczność, co za pech – mówił dziadek Patryka bardziej do siebie niż do Karola. – Skoro wnuk was zaprosił, to oczywiście możecie tu wrócić, do godziny piętnastej pani Krysia zakończy sprzątanie.

– Dziękuję, ale już nie wrócimy, wątpię, by Sonia się zgodziła.

– Może pan do niej zadzwoni, biedaczka, żal mi jej.

– Zadzwonię, ale mogła się nie wygłupiać i nie uciekać, nie sądzi pan?

– Może oczekiwała, że pan ją obroni? To pana dziewczyna, prawda?

– Niby tak, ale chyba już nie.

– Och, młodzi, wam tak szybko przychodzi zaczynać i kończyć.

Karol zabrał klucze, które pozostawił na garderobie. Przez chwilę się zawahał, czy oddać je dziadkowi Patryka, ale wsunął w kieszeń. Nie wiedział, co zrobi. Przeszedł przez rynek, doszedł do Grodzkiej. W Café Zakątek zjadł tost z szynką i serem. Zawsze zdenerwowanie zagryzał jedzeniem. Pił kawę i zastanawiał się, czy zadzwonić do Soni, czy nie. W końcu wysłał SMS: „Czekam w Café Zakątek, Grodzka 2”. Kiedy minęło pół godziny, wysłał następny: „Wychodzę, już nie czekam”.

Złość znów w nim wezbrała. Idąc w kierunku dworca, obiecywał sobie, że już się do Soni nie odezwie i nie będzie o nią zabiegać.

Wiedział, że w szkole czekają na niego inne dziewczyny, które ucieszą się z zerwania z Sonią i na pewno nie będą stwarzać takich problemów jak ona. Mało tego, postanowił, że jeszcze dzisiaj zadzwoni do Eweliny, z którą spotkał się kilka razy, nawet wówczas, kiedy oficjalnie z Sonią tworzyli parę. Ewelina była dziewczyną przebojową, atrakcyjną i nie zadawała zbędnych pytań, więc razem mogliby się nieźle zabawić.

Szedł szybkim krokiem. Zamierzał wrócić najbliższym pociągiem lub busem, oddać Patrykowi klucze i przerwać jego pobyt w swoim domu, bo niby dlaczego koledze miałyby być lepiej, niech też odczuje skutki niefortunnego incydentu. Nie warto się dręczyć, trzeba sobie powiedzieć, że to się po prostu nie wydarzyło, pomyślał. Zrobił przecież pierwszy krok, wysłał wiadomość do Soni, gotów był nawet przeprosić, choć do końca nie wiedział za co.

Nie chciał czuć się winny. Przecież to Sonia go zostawiła, a więc i w jakimś sensie zdradziła, niech więc sobie radzi, jeszcze pożałuje tego, co zrobiła. Mógł być jej idolem, ale za późno, skoro woli grać księżniczkę, to niech gra, tylko ciekawe, gdzie znajdzie widownię, która będzie ją podziwiała. Nagle poczuł się lekko. Rozpiął kurtkę, podniósł głowę. Byle do przodu, pomyślał.

*

Kiedy przyszedł pierwszy SMS, Sonia właśnie wychodziła z Sukiennic, które obeszała dwa razy, bynajmniej nie dlatego, że coś ją zainteresowało na straganach, ale po prostu tam czuła się anonimową turystką, której łez nikt by nie zauważył. Myśli przeskakiwały jedna przez drugą. Nie wiedziała, co zrobić; mogła wrócić do domu – ale co wówczas powiedziałyby rodzicom? – albo spędzić cały dzień w Krakowie. A może i całą noc, tylko gdzie? W pierwszym odruchu pognęła wprost na Grodzką, doszła do Café Zakątek, ale nie zdecydowała się wejść do środka.

Złość do niej powróciła. Karol nie stanął po jej stronie, kiedy nazwano ją „zdzirą”, a przecież nieraz podziwiała go w szkole za to, jak walczył o swoje racje, jak bronił innych. Wystarczyłoby, aby powiedział: „To moja dziewczyna”. Stałaby u jego boku. Skoro jednak milczał, to znaczy, że mu na niej nie zależy. Znowu poczuła ucisk w gardle. Tym

razem był to nie tylko żal, ale i bunt. Chciała go ukarać i dlatego odeszła od drzwi kawiarni. Znalazła inny bar, gdzie podawano gorącą czekoladę. Zamówiła mleczną z domieszką chili i bitą śmietaną. Poczwała miłe ciepło w środku.

Włączyła tablet. Zajrzała na swój profil na Facebooku. Znajomi pamiętali o jej urodzinach, podsyłając dobre słowa, obrazki kwiatów, tortów, drinków, nawet psiaków i kotów. Z jednej strony ją to krzepiło, z drugiej smuciło. Dzień urodzin miał być radosny, a stał się dramatyczny. Może i wyjątkowy, bo w jakimś sensie ocalił ją przed Karolem, choć jeszcze nie miała pewności, czy to dobrze, czy źle.

„Jestem w Krakowie, piję gorącą czekoladę, jest super” – napisała na fejsie. Zajrzała na profil Karola. Nie było tam śladu jego bytności w Krakowie i to ją ucieszyło. Jeszcze będzie żałował, pomyślała, bo prócz gniewu i żalu budziła się w niej także chęć zemsty. Nie znała do tej pory takich uczuć. Nie narażała się koleżankom, bo raczej nie była osobą konfliktową. Ostatnio czuła się obserwowana, wyróżniana, nawet i podziwiana. Była dziewczyną Karola i to dodawało jej ważności. Co się stanie teraz? Przestaną ją zauważać? Lubić? Lajkować posty? Po raz drugi powtórzyła po cichu: „Ja im jeszcze pokażę”.

Drgnęła, bo telefon zawibrował. Odebrała.

– Właśnie stoję przy furtce twojego domu z różą w zębach – powiedział Daniel – a Aniela mi mówi, że jesteś w Krakowie, więc różę zostawiam w skrzynce na listy, no i życzę ci różnych dobroci, w szczególności: słońca, konia, lwa na smyczy i czterdziestu dzikich rozbójników.

– Nie przesadziłeś czasami?

– Tak mi się zrymowało, ale jak widzisz, dobry w rymach nie jestem, mimo to życzę ci najlepiej.

– Dziękuję, bardzo to miłe, że pamiętałeś.

– Oj tam, oj tam, Facebook mi przypomniał.

– No to dziękuję za różę, tylko nie skazuj jej na zamrożenie, daj Anieli, niech postawi na moim biurku.

– Ja też marznę.

– Ty się na biurku nie zmieścisz.

– Gdybym się spakował najnowszym programem, to może bym się

zmieścił.

- Lepiej nie eksperymentuj, lubię twoją wysokość.
- Mówi się: Jego Wysokość.
- Udało ci się, rozbawiłeś mnie.
- Byłaś smutna?
- Co ty! Jestem z Zuzką i wypiliśmy rozśmieszającą czekoladę.
- Z Zuzką?
- Aha.
- Kiedy wrócisz?
- Jutro.
- Szkoda, bo chciałem obgadać nowy numer gazetki. Mam kilka

pomysłów.

- Obgadamy w szkole.
- Wolałbym na biurku.
- Mówi się: przy biurku.
- A więc jest szansa?
- Dla ciebie zawsze.
- Zrób jakieś fajne fotki, wiesz, taki cykl: „Kraków jest smutny bez

Daniela”.

- Świetny pomysł. Zamieszczę na fejsie, zerknij pod wieczór.

Pomyślała ciepło o Danielu: to dobry kolega, ma świetne pomysły, reporterski zmysł. To on wymyślił szkolną gazetkę, nazwał „Widziałem”, i został jej redaktorem naczelnym. Uśmiechnęła się, odkrywając zalety Daniela. Próbowwała w podobnych kategoriach pomyśleć o Karolu i nic jej nie przychodziło do głowy, dopiero po chwili przypomniała sobie, że przecież Karol jak mało kto zna się na komputerach. W sobie nie widziała zalet. Ani specjalnych zainteresowań, ani konkretnych zdolności. Daniel wprawdzie chwalił jej styl pisanie i mówił, że jako dziennikarka mogłaby być gwiazdą szkolnej gazetki, ale zbywała tej wątpliwej rangi komplement. Teraz pomyślała, że Daniel ma rację. Przecież nie od razu Kraków zbudowano, jak lubiła powtarzać mama. Od czegoś trzeba zacząć, gdzieś trzeba terminować, może więc powinna włączyć się intensywniej w pisanie, lubi przecież obserwować ludzi, wnikać w motywy ich postępowania.

Otworzyła notatnik w tablecie i zapisała kilka punktów:

1. Fotoreportaż: *Slow life w Krakowie*
2. Wywiad z aktorem (kto? skąd ja go wytrzasnę?)
3. Ankieta: *Z czym ci się kojarzy słowo „idol”?*
4. Kłamstwo (dlaczego kłamstwo?)
5. Wyleczyć się z Karola

Podeszła do baru, za którym stał wymuskany chłopak. Zauważyła, że zerkał na nią, kiedy pisała na tablecie.

– Chciałam zapłacić – powiedziała.

– Dwanaście złotych.

Podawała odliczone pieniądze.

– Fajne masz włosy – zauważył barman.

– Dzięki, lubię je. – Uśmiechnęła się. – Czy możesz mi pomóc? – zapytała.

– Chętnie.

– Robię ankietę do artykułu, anonimową. Jeśli pozwolisz, nagram twoją odpowiedź.

Barman skinął głową. Włączyła dyktafon w telefonie.

– Idol. Z czym kojarzy ci się to słowo?

– Idol to odbicie, wyobrażenie, posązek lub obraz bóstwa. Może być wykonany z gliny, kamienia, kości, złota.

– Nie miałam pojęcia. Skąd to wiesz?

– Studiuję antropologię. Tutaj pracuję w soboty, czasami w niedziele.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem. Pomyślała, że mogła wrzucić złotówkę do stojącej na barze skarbonki z napisem: „Napiwek mile widziany”. Teraz było za późno, głupio by to wyglądało.

– Co odpowiadają inni?

– Najczęściej, że to program telewizyjny – skłamała na oczekaniu.

– Dzięki – pożegnała się szybko, jakby w obawie, że barman zacznie zadawać inne pytania i będzie musiała wymyślać odpowiedzi.

– Przyjdiesz tu jeszcze? – zapytał, kiedy już się odwróciła.

– Nie mieszkam w Krakowie, ale gdy znów przyjadę, to na pewno zajrę.

Nie wiedziała, co z sobą zrobić. Na ulicy poczuła się bezradna. Ludzie przechodzili, a ona nie zadawała pytania, nie podstawiła mikrofonu. Gdyby mogła się komuś wyzalić, byłoby jej lżej. Może ktoś potrafiłby spojrzeć na wydarzenie humorystycznie i wówczas całość stałaby się zabawną historyjką. Sonia jednak nie widziała nic zabawnego w tym, co się stało, bo ciągle dźwięczało jej w uszach słowo: zdzira, zdzira, zdzira. Nie potrafiła się od tego uwolnić, nawet gwar ulicy niczego nie wyciszał. Nie wchodziła w grę żadna z koleżanek, one wprawdzie uwielbiały zwierzenia, ale obawiała się, że nawet te najlepsze zacierałyby ręce z jej porażki. Poza tym utrzymywała wyjazd z Karolem w tajemnicy, nawet Justynie o nim nie powiedziała, więc może porażka nie wyjdzie na jaw, może Karol okaże się dyskretny i nikt nie będzie z niej szydził, czego się bardzo bała.

Może wystarczyłoby po prostu zadzwonić do Karola i wypłakać mu się na ramieniu, pomyślała, ale szybko odrzuciła tę możliwość. Niech pocierpi, pomyślała. Gdyby ją kochał, na pewno inaczej by zareagował albo przynajmniej nie pozwoliłby jej wyjść samej. Nigdy nie powiedział, że ją kocha ani nawet, że ją lubi. I w ogóle – teraz to do niej docierało – nie było między nimi bliskości ani serdeczności. Szybko przyklejono im etykietkę pary i tak to trwało. Karol to typ zdobywcy, powiedziała kiedyś mama. Sonia wówczas nie podtrzymała tematu, jakby w obawie, że usłyszy dobre rady, z których każda kończyłaby się wnioskiem, że to nie jest chłopak dla niej.

Jeśli jednak tak było, jak mama wyrokowała, to znaczyło, że Karolowi zależało tylko na tym, by się z Sonią przespać i by w ten sposób stała się jego „pełnoprawną” dziewczyną. Tylko co byłoby dalej, czy to by scementowało ich związek? A jeśli nie? Sonia nigdy nie zgodziłaby się na to, aby jej chłopak uwodził inne dziewczyny. Może to rzeczywiście typ podrywacza, rozmyślała. Tak czy owak odetchnęła z ulgą, że nie „skonsumowali” swojego bycia razem, jak powiedziałyby babcia. Ona często powtarzała: „Nie ma się do czego śpieszyć, Soniu, nie ma do czego, jeszcze masz dużo życia na seks i trzeba mieć pewność,

że będziesz z człowiekiem odpowiedzialnym, lojalnym, i mądrym”. Zapamiętała te słowa, choć wydawałoby się, że jednym uchem wpadają, a drugim wypadają, jak inne głędzenia babci, która na pewno nie pamiętała, jak to jest, kiedy hormony buzują i nie wiadomo, co z nimi zrobić.

Teraz Sonia gotowa była przyznać babci rację. Już nie miała żadnej pewności, czy rzeczywiście Karola kochała, jak mu mówiła, czy tylko jej się tak wydawało. Ja mu pokażę, odegram się na nim, jeszcze pożałuje, że mi obiecał ten Kraków i dostał nieszczęsny klucz od mieszkania, powtarzała po cichu. Zorientowała się, że jest już pod samym dworcem kolejowym. Sprawdziła rozkład jazdy, pociąg powrotny miała za półtorej godziny. Nie powinna jednak wrócić, bo co powie w domu? Znalazła następny po godzinie szesnastej, co znaczyło, że przed sobą miała całe trzy godziny. Nie miała ani siły, ani ochoty wędrować po mieście. Skręciła w stronę galerii handlowej.

Poczuła głód, czekolada tylko na krótko go zaspokoila. Skomponowała w barze własną wersję sałatki. Usiadła w kącie, z plecaka wyjęła kanapkę pozostałą z babcinych zapasów. Przypomniała sobie, że przecież ma całe trzysta złotych, które dostała od rodziców na urodzinowy wyjazd do Krakowa. Postanowiła więc kupić sobie prezent. Nie wiedziała, czego chce i czego szukać. Chodziła od sklepu do sklepu, kilka rzeczy przymierzyła i odłożyła. Siostrze kupiła czapkę, bo nagle zatęskniła za Anielą. W zeszłym roku Anielą zgubiła dwie ulubione czapki, więc nowa będzie w sam raz, jak znalazł.

Weszła również do księgarni i zatrzymała się przy stoisku z poradnikami psychologicznymi. Na okładce jednej z książek przeczytała: „Życie nie jest przedstawieniem ani ucztą – ono jest kłopotem”. Przytaknęła, bo przecież teraz była w kłopotcie. „Nie poddawaj się, bo po odpływie nastąpi przyływ, a sprawy przyjmą inny obrót”. Zabrzmiało to jak z horoskopu dla zawiedzionych pańienek, więc odłożyła książkę.

Kupiła natomiast nowe wydanie *Baśni* Andersena w tłumaczeniu Bogusławy Sochańskiej. Gdzieś słyszała, że są świetne, bo tłumaczone z języka oryginału, czyli z duńskiego, a nie z języków pośrednich, czyli na przykład z przekładów angielskich czy niemieckich. Pogłaskała tę

książkę, bo przypomniała jej chwile, kiedy leżała w łóżku i mama lub babcia czytały jej na dobranoc. W sklepie ze sztuczną biżuterią kupiła wisiołek, pięciolistną koniczynkę, zawieszoną na rzemyku. Chciała mieć w niej talizman.

Wreszcie doczekała się pociągu. W przedziale siedział starszy pan, który przysypiał. Podróż jej się dłużyła, niczym sensownym nie potrafiła zająć myśli. I jak na złość pociąg spóźnił się piętnaście minut. Na dworcu w Katowicach zauważyła plakat, który ją zaintrygował: *Mężczyzna prawie idealny*, recital Artura Gotza oraz promocja płyty o tym samym tytule. Z plakatu patrzyły przenikliwie oczy młodego chłopaka z jasnymi włosami. Uśmiechał się tajemniczo i łagodnie. Z urody był przeciwieństwem Karola. Zapamiętała nazwisko, datę i miejsce koncertu. Nie słyszała o takim piosenkarzu. Postanowiła sprawdzić w Internecie.

Do domu weszła po godzinie osiemnastej i wywołała wielkie zdziwienie.

– Co się stało? – zapytały wystraszona mama i babcia jednocześnie.

Ojciec, który jako jedyny w domu był ciągle palaczem, sięgnął po paczkę papierosów, jakby pewien, że ze zdenerwowania będzie musiał wyjść i zapalić w garażu.

– Babcia, babcia – zająknęła się.

– Co „babcia”? – ponagliła mama.

– Babcia Zuzki nagle umarła i dlatego postanowiłam wrócić – Sonia skłamała jak z nut.

Nie obmyśliła wcześniej tej wersji kłamstwa, raczej kombinowała pozorowanie bólu brzucha i nagłą niestrawność. Wszyscy zaczęli ją pocieszać i przytulać, więc bez specjalnego wysiłku rozplakała się rzewnie.

4. Lafirynda

Nie rozgadywała się za bardzo, bo nie chciała brnąć w kolejne kłamstwa. Kłamstwa wymagają dobrej pamięci, skrupulatności i specyficznej logistyki, bo trzeba wiedzieć, co się komu skłamało, by się nie pomylić i nie wyjść na osobę niewiarygodną i niebudzącą zaufania. Rodzina zasiadła w salonie, babcia Nina podała ciasto ze śliwkami i herbatę.

– Nie upiekłam tortu, Soniu, bo chciałam to zrobić w przyszłą niedzielę, kiedy będziesz w domu, ale zapalimy choć jedną świeczkę na kawałku ciasta i zaśpiewamy ci jeszcze raz *Sto lat* – zarządziła babcia.

– Tak to już jest, że jedni odchodzą, drudzy się rodzą, jedni śpiewają, drudzy płaczą, nie nam decydować, co dla kogo – podsumowała siedząca na wózku inwalidzkim ciocia Rena, która jako jedyna rozpamiętywała śmierć babci Zuzki.

– Jak się dzisiaj czujesz, ciociu? – zapytała Sonia, by zmienić temat i nie powracać do niefortunnego pobytu w Krakowie.

– Stosownie do wieku, kochana, stosownie i jeszcze trochę gorzej, ale trzeba chwycić każdą chwilę, kiedy mniej boli.

– Mam dla ciebie prezent – powiedziała Aniela i podała siostrze mały pakunek.

– Nie spodziewałam się, dziękuję.

– Spodziewałaś, spodziewałaś, ale byłaś tak zajęta wyjazdem, że nie myślałaś za wiele.

– Zielony kamień, śliczny – ucieszyła się Sonia.

– Malachit, na szczęście, siostrzyczko.

– To teraz będę miała dwa talizmany, bo w Krakowie kupiłam sobie pięciolistną koniczynkę.

Sonia przyniosła plecak, pokazała koniczynkę i podała siostrze pakunek.

– A to dla ciebie, żeby ci łepetyna nie zmarzła, i mam nadzieję, że tej czapki już nie zgubisz.

Siostrze spodobał się prezent, więc odtńczyła taniec radości.

Rodzice znacząco wymienili spojrzenia.

– Soniu, dobra z ciebie dziewczyna – powiedział ojciec. – Przykro mi, że tak się zakończyła twoja eskapada, ale cieszymy się, że w ten walentynkowy i urodzinowy wieczór jesteście razem.

– Nie tak dobra, jak byś sobie życzył, tato – powiedziała i ugryzła się w język.

Nigdy się nie chwalił niepotrzebnie, ale też nie mówił o sobie źle, pouczała ją nieraz ciocia Rena. Sonia uznała to za dobrą przestrożę i postanowiła pamiętać, ale teraz, w poczuciu krzywdy, winy i żalu, powiedziała za dużo, bo ojciec już się szykował do bardziej wnikliwych pytań, zauważyła to nie tylko po jego minie, ale też po tym, jak zmrużył oczy i złożył ręce.

– Coś boli mnie brzuch – zgięła się w pół. – Chyba zjadłam za dużo tego pysznego ciasta, babciu.

– Zrobię ci mięty – wtrąciła mama.

– To nerwy – dodała ciocia Rena.

– Pójdę do pokoju, może się zdrzemnę, wcześniej dziś wstałam. – Sonia miała ochotę zostać sama, by odpocząć od tłumionych myśli i ciągłego kontrolowania się.

Na górze czekała na nią róża od Daniela. Pyszniła się czerwienią, stojąc na biurku. Siostra wstawiła ją do wazonu z wąską szyjką. Ucieszył ją ten widok na tyle, że nawet chciała zadzwonić do Daniela, ale nie zrobiła tego, musiałaby przecież tłumaczyć, dlaczego już jest w domu, albo kłamać, że nie jest. Położyła się na łóżku, nakryła nogi polarowym kocem w kolorze pomarańczowym, takim jak ściany pokoju.

Lubiła ten pokój, sama go urządziła. Niewiele tu było mebli. Ubrania chowała w przemyślnie zabudowanej wnęce. Komoda służyła jej do przechowywania bielizny, T-shirtów, szalików, apaszek i spodni. Miała też jeden regał z książkami, które gromadziła od czasów dzieciństwa, więc nie zabrakło na nim bajek, baśni, powieści młodzieżowych i lektur szkolnych. Wyjątkowo lubiła powieści fantasy, więc ich też nie zabrakło na półkach: od J.R.R. Tolkiena począwszy, przez Ursulę Le Guin, Jacka Dukaja, Andrzeja Sapkowskiego. Miała też kilka tomików wierszy: Gałczyńskiego, Baczyńskiego, Broniewskiego, Poświatowskiej, Szymborskiej, Twardowskiego, ale rzadko do nich

zaglądała.

Jedna z półek przeznaczona była na kryminały i powieści sensacyjne, spośród których najbardziej lubiła trylogię Stiega Larssona: *Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet*, *Dziewczyna, która igrała z ogniem* i *Zamek z piasku, który runął*. Przypomniała sobie, że ma w plecaku *Baśnie* Andersena, ale nie chciało jej się schodzić z łóżka, by ustawić je na półce. Zwinęła się w kłębek, zrolowała poduszkę. I nagle dopadł ją płacz, głośny, łkający. Nakryła głowę poduszką i dusiła szloch. Nie pamiętała, kiedy jej się to ostatnio zdarzyło. Sięgnęła po chusteczki leżące na biurku.

– Aż tak cię boli? – zapytała Aniela, która zajrzała przez uchylone drzwi.

– Spadaj.

– Powiem mamie, że cię boli.

– Tylko spróbuj. Daj mi spokój, chcę zasnąć.

– OK, ale nie płacz, bo mi też chce się wyc, jak cię słyszę.

Aniela zamknęła drzwi, ale nasłuchiwała jeszcze przez chwilę. Sonia się uciszyła. Aniela nie miała pewności, czy dobrze robi, nie schodząc na dół, by powiedzieć o płaczu siostry, ale nie chciała być skarżypytą. Po godzinie otworzyła drzwi ponownie i zobaczyła, że siostra śpi spokojnie. Dopiero wtedy powiedziała babci, że Sonia zasnęła.

– Czemu chodzisz w czapce po mieszkaniu? – zauważył ojciec.

– Bo się z nią zaprzyjaźniam, już ją polubiłam.

– Sonia mięty nie wypila, na pewno niedługo się obudzi, to jej podgrzeję, sen jest dobry na troski. – Babcia mówiła bardziej do siebie niż do wnuczki.

Odstawiła kubek na blat szafki kuchennej. Usiadła przy stole.

– Ładnie ci w czapce, Anielko, dobrą masz siostrę, nawet w dniu swoich urodzin pomyślała, by ci zrobić przyjemność.

– Może myślała, może nie myślała, tak jej się trafiło, ale fajnie – podsumowała prawie filozoficznie.

Sonia drzemała bardziej niż spała, gdzieś z oddali słyszała melodię standardu jazzowego, jednego z tych, których słuchał ojciec, człapanie babci, sygnał przychodzących wiadomości w telefonie. Powinna się

umyć, przebrać i przyzwoicie się wyspać, ale było jej ciepło i bezpiecznie, więc nie zmieniała pozycji. Ktoś do niej zajrzał ponownie. Biedaczka, usłyszała spoza drzwi, uszanuj jej sen, ktoś mówił, może mama, może babcia. Obudziła się dopiero o godzinie drugiej, włożyła piżamę i wyszła do toalety. Po drodze spojrzała w lustro i zobaczyła obraz rozpaczony, wymiętoszoną twarz, podkrążone oczy. Przetarła twarz nawilżającą chusteczką, były wprawdzie przeznaczone dla niemowląt, ale i starszym służyły do odświeżania. Rozbudziła się na dobre, wzięła prysznic, nie bacząc, że obudzi domowników, i poczuła się wyspana. Weszła pod kołdrę, ale miała ze sobą tablet i telefon.

Na fejsie przybyło urodzinowych życzeń. Tym razem znajomi prześcigali się w zamieszczaniu rymowanych wierszyków. Dziękowała każdemu z osobna. Justyna, koleżanka z klasy, a może nawet więcej niż koleżanka, napisała: „Pamiętaj o przyniesieniu w poniedziałek czekoladowych cukierków, mogą być też wafelki, ptasie mleczko i inne żelki. A czy wiesz, że w Krakowie jest też Karol? Zamieścił na fejsie kilka fotek”. Wystraszyła ją ta informacja, zirytowała też niedomyślność koleżanki. Odpisała: „Czysty przypadek, nie zgadaliśmy się. Ja byłam u Zuzki, ale już wróciłam do domu”.

Przeskoczyła na profil Karola i zamarła. Roześmiany Karol brylował w towarzystwie dwóch równie roześmianych dziewcząt. Napisał: „Są dziewczyny, jest zabawa”. Przeczytała wszystkie ciekawskie komentarze. W jednym z nim padło nawet pytanie o nią: „Fajny trójkącik. A co na to Sonia? Czy bawi się z wami?”. Sonia była pewna, że już wszyscy w klasie wiedzą o Krakowie i plotkują, bo przecież fejs to największa wylęgarnia plotek i sensacji. Wróciła na swoją stronę, by jak najszybciej skasować to, co przed chwilą napisała, ale miała już kilka lajków, więc usuwanie wpisu miałoby się z celem. Trudno, pomyślała, co będzie, to będzie, machina ruszyła.

Zasnęła co najmniej po trzech godzinach. Rano wyskoczyła z łóżka o dziewiątej, przerażona tym, że zasnęła. Tymczasem domownicy spali w najlepsze, niedziela była w ich domu zawsze leniwa. Jedynie babcia Nina krzątała się w kuchni, bo już wyrosła z długiego spania, jak sama o sobie mówiła. Od razu chciała zaparzyć wnuczce miętę, ale Sonia zapewniła, że czuje się dobrze, zrobiła sobie kawę z dużą ilością mleka

i wróciła na górę.

Zerknęła na telefon i drgnęła, zobaczywszy SMS-y. Tkwiała w niej skrywana nadzieja na to, że Karol napisze, zadzwoni, przeprosi. Nie chodziło jej o to, by znów się spotykali jak chłopak z dziewczyną, bardziej o to, by jako porzucona dziewczyna nie znalazła się na przegranej pozycji. Tymczasem wszystko na to wskazywało, a już na pewno dociekliwy SMS od Justyny nie wróżył niczego dobrego.

„Co jest grane z Karolem? Bo wieczorem widziałam go z Ewelina, trzymali się za ręce” – pisała. Drugi SMS przyszedł z nieznanego numeru, ale był podpisany: „Karol jest wspaniałym chłopakiem, a ty głupią kłepą. Ewelina”.

Znów ścisnęło ją w żołądku i to tak bardzo, że od razu pobiegła do toalety, by zwymiotować wypitą kawę. Usiadła wymęczona pomiędzy klozetem a prysznicem. Głowę schowała pomiędzy kolanami. Postanowiła nie reagować na SMS Eweliny, którą w myślach od razu nazwała lafiryndą. Zapisała jej numer, aby w razie czego nie odebrać telefonu, bo czuła, że Ewelina jest zdolna do wszystkiego.

Z Justyną wymieniła kilka SMS-ów:

S: Co się miało stać? Kopnęłam go w tyłek.

J: No wiesz, wszyscy mówią, że to on kopnął ciebie.

S: Kto „wszyscy”? Konkretnie.

J: Ewelina, ale nie tylko ona, zobacz na fejsie.

S: Ewelina to lafirynda.

J: Nie mów tak o niej.

S: A jak mam mówić? I tak jestem delikatna.

J: Może wpadnę do ciebie?

S: A co? Chcesz mieć niusy z pierwszej ręki?

J: Karol jest bez winy?

S: Karol to pacan i kłamca. Żałuję, że się z nim spotykałam. Lafirynda do niego pasuje, ale ja im jeszcze pokażę.

J: To wpadnę po południu, jestem po twojej stronie, Soniu.

S: Nie będzie mnie w domu, jestem umówiona z Arturem Gotzem.

J: A kto to?

S: Zamiast zajmować się głupotami, mogłabyś trochę wiedzy zaczerpnąć z netu.

J: OK, coś taka ważna? Zadzwonię jutro.

Sonia była zadowolona z kłamstwa o spotkaniu z aktorem. Wiedziała, że to zostanie przekazane dalej, bo choć Justyna była życzliwą koleżanką, to nie na tyle, by dobre informacje zatrzymywać dla siebie. Sonia już wiedziała, jak wykorzysta niedzielę: musi się jak najwięcej dowiedzieć o Arturze Gotzu. Potem do niego napisać i to tak, by zwrócił na nią uwagę. Musi z nim nawiązać znajomość i pokazać, że nie jest porzuconą klępą, jak chciałaby Ewelina. Miała ochotę zrobić jej na złość, ale nie potrafiła wymyślić nic na poczekaniu. Pośpiech jest złym doradcą, więc trzeba poczekać, powtórzyła sobie kilka razy, trzeba rozważyć, planu, nic nagle, bo co nagle, to po diable, babcia i ciocia mają czasami rację.

5. Karol Zdobywca Pierwszy

Karol nie mógł pozwolić na to, by Sonia wygrała. Był wściekły na wszystkich, na siebie także. Niepotrzebnie się uparł, by zbliżyć się do Soni. Aż tak mu na niej nie zależało, choć była ładna i niegłupia, ale też przekorna, i chyba dlatego postanowił dopiąć swego, czyli przespać się z nią, zaimponować chłopakom, którzy mówili, że Sonia nie jest łatwa, i dopiero wówczas zdecydować, czy będą się dalej spotykać jak dziewczyna z chłopakiem, czy nie. Nic jej nie obiecywał, nie składał deklaracji, pod tym względem był niezwykle ostrożny, bo wiedział, jaką wagę dziewczyny przywiązują do słów, jak łatwo je omotać, ale też jak słowa mogą się obrócić przeciwko motającemu.

Już był blisko celu, bo Sonia zakochiwała się w nim z dnia na dzień coraz bardziej. Imponowało jej, że w szkole jako dziewczyna Karola cieszyła się poważaniem koleżanek. Wiadomo, Karol ma wszystko, co najlepsze, od ciuchów począwszy, po najnowszy model iPhone'a. Używał też wykwintnej wody toaletowej, jak ojciec.

– Uwodzicielsko pachniesz – powiedziała jedna ze znajomych do ojca.

– Mam zasadę: wody toaletowe i kochanki muszą być w najlepszym gatunku – odpowiedział ojciec, a wszyscy się roześmiali. – Żartowałem – dodał, uśmiechając się do żony, która pogroziła mu palcem, by podtrzymać obraz niesfornego męża.

Karol przyciągał Sonię i odpychał. Na początku tego nie planował, ale zauważył, że to świetna metoda i można nią skruszyć nawet najbardziej oporną dziewczynę. Jednego dnia się z Sonią prawie afiszował, drugiego ją zbywał. Potrafił podejść na przerwie, cmoknąć w policzek, przytulić. Czułe gesty nie miały związku z prawdziwymi emocjami, były rodzajem gry przysparzającej mu popularności wśród koleżanek, które oceniały go wedle tego, co widziały.

Koledzy woleli konkrety. Gdyby tak w Krakowie zobaczył go w jednoznacznej sytuacji z Sonią któryś z kumpli, a nie dziadek Patryka, Karol byłby z tego wielce zadowolony. Choćby nawet zaprzeczał, że

leżał obok Soni niewinnie, to nikt by nie uwierzył. Choćby przysięgał, że spodnie zdjął dla wygody, a nie po to, by do Soni przyłgnąć po męsku, dałby tym bardziej dowód potwierdzający mistrzostwo w zdobywaniu dziewczyn. O to mu chodziło.

Chciał być postrzegany jako Karol Zdobywca Pierwszy. Chciał być uwielbiany i podziwiany. Sonia kiedyś nazwała go „idolem”. Najpierw się obruszył, ale potem nie miał nic przeciwko temu. Przecież bycie dla kogoś autorytetem, posiadanie fanów to jest to, o co mu chodzi, myślał.

– Lepiej być idolem niż starym ramolem – powiedział kiedyś ojciec i to też sobie Karol zapamiętał.

– Oj, przystojniaku, będą dziewczyny jeszcze płakać przez ciebie – mówiła matka w przyływie czułości, nie wiedząc, że już tak bywało.

– Moja krew, moja krew – powtarzał ojciec.

Karol był jedynakiem. Rodzice pracowali do późna i często wyjeżdżali. Matka była przedstawicielką w firmie farmaceutycznej, ojciec pracował jako szef działu marketingu w jednym z dużych hoteli. Powodziło im się dobrze. Nie kwapili się do budowania domu, nie marzyli o ogrodzie. Wystarczało im duże mieszkanie w bloku i możliwość wyjazdów poza miasto w czasie weekendów.

– Jeszcze niedawno nie potrafił zasnąć bez bajki czytanej na dobranoc, a teraz, proszę, proszę, na pewno on czyta dziewczynie – dowcipkował ojciec, uśmiechając się do syna znacząco.

– Pamiętaj, Karolu, najważniejsze to nie krzywdzić ani drugiej osoby, ani siebie. – Matka kładła większy nacisk na prawość w relacjach, na lojalność, ale też mało kiedy rozmawiała z synem o konkretnych sprawach.

– Pamiętaj, synu, rób, jak uważasz, i uważaj, jak robisz – udzielał rad ojciec, zawsze obracając je w żart.

Nigdy nie były to przemyślane rady ani też szczerze rozmowy.

Od dwóch lat Karol miał już swoje sprawy, więc wolał nie wyjeżdżać z rodzicami. Z nauką nie miał problemów, co nie znaczy, że uzyskiwał tylko najlepsze stopnie. Ważne były konkretne zainteresowania i to, by radził sobie z przedmiotami ścisłymi. O studiach z rodzicami nie debatował, bo na to miał jeszcze czas. Nie był skory do zwierzeń, a ojciec nie wypytywał. Matka czuwała z daleka. Miał więc

dużo wolności od rodziców i skwapliwie z niej korzystał.

Kiedy opuścił kamienicę przy ulicy św. Marka w Krakowie, miał ochotę walnąć głową w mur. Był totalnie zaskoczony i zdesperowany. Nie układał dotąd scenariusza pobytu, bo nie miał w zwyczaju wyobrażać sobie zbyt wiele. Nie przyszłoby mu jednak na myśl, że zdarzy się to, co ich spotkało. Mógł omotać Sonię tak, by została na noc w jego domu, ale skoro nadarzyła się okazja zamiany mieszkaniem, to chętnie z niej skorzystał, będąc pewnym, że Soni spodoba się ten pomysł i nie będzie stroić fochów ani kazać się za długo prosić. Wszystko szło jak z płatka.

Tymczasem codzienność podsunęła inny scenariusz, w którym nie było możliwości na zaplanowanie właściwych reakcji, z jakich byłby zadowolony. Dopiero po wyjściu z domu Patryka kombinował w myślach, co mógł powiedzieć, jak zareagować. Teraz na wszystko było za późno, bo mleko się rozlało, jak mawiała jego matka. Pochwalił jednak siebie za to, że wysłał do Soni SMS-a, i gotów był na nią czekać całe dwadzieścia minut.

Potem jednak powiedział „dosyć” i postanowił nie dać sobą pomiatać. Nie będzie mi baba fochów stroić, powtarzał, przybierając ton ojca, ani uciekać, ani dziwaczyć. Kim ona jest, by się tak stawiać, mogła mu przecież pomóc, a nie zwinąć żagle przy pierwszym solidnym wietrze.

Przypomniał sobie jeszcze inne powiedzonko ojca, czym bardzo się pocieszył: „Kobieta chce, żeby jeden mężczyzna spełniał wszystkie jej zachcianki. Mężczyzna chce, żeby wszystkie kobiety spełniały jego jedną zachciankę”.

– Przyjdzie jeszcze koza do woza – powiedział po ojcowemu.

I postanowił nie marnować czasu. Rozejrzał się wokół.

Dziewczyny spacerowały bez chłopaków. Wypatrzył te najbardziej rzucające się w oczy, roześmiane. Zagadał, zrobił kilka fotek i od razu wrzucił na fejsa. Zadzwoił do Patryka i w kilku zdaniach zrelacjonował mu zajście w mieszkaniu.

– Dziadek to bardzo dobry i łagodny człowiek, mogłeś nie uciekać, tylko zadzwonić do mnie – przyznał Patryk. – Moja wina, że nie powiedziałem im o wyjeździe i waszym pobycie.

– No tak, ale moja dziewczyna spanikowała. – Karol niemal się zakrztusił, kiedy usłyszał, co mówi.

Nigdy do tej pory nie nazwał Soni swoją dziewczyną, ani przy niej, ani w szkole, ani tam, przy dziadku Patryka, a przecież na to właśnie Sonia liczyła, tego oczekiwała. Nazwał ją swoją dziewczyną dopiero teraz, kiedy Sonia już na pewno nie wróci. Za dumna jest, za uparta, trochę ją od tej strony poznał. Nie rozumiał siebie. Nie pojmował mechanizmów swoich zachowań, nie wiedział, dlaczego mówi coś, czego już mówić nie musi, bo nikt go nie prosi, a milczał wówczas, kiedy wypowiedzenie tych słów rozwiązałoby problem.

Machnął ręką. Przegnał myśli, którymi niepotrzebnie się dręczył. Przecież tak naprawdę ani trochę za Sonią nie wariował. Właściwie to nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się zakochać w dziewczynie tak, by o niej marzyć, śnić i na nią czekać. Patrzył na dziewczyny jak na obiekt do zdobycia, jak na dodatek, który go rozświecili. Nie ma więc czego żałować, czas miłości jeszcze nie nadszedł, na razie nie spotkał dziewczyny, dla której zdolny byłby zrobić więcej niż dla siebie.

– Zobaczysz, spotkasz kiedyś kobietę, której gwiazdę z nieba podarujesz i kafelek z pieca – mawiała matka.

Może miała rację, przytaknął, i tym łatwiej się usprawiedliwił.

Doszedł do dworca kolejowego. Na najbliższy pociąg musiałby czekać ponad dwie godziny. Na dworcu autobusowym znalazł bus, który odjeżdżał za piętnaście minut. Po półtorej godzinie dojechał przed dworzec w Katowicach. Aby dojść do autobusu, który zawiezie go do domu, musiał przejść tunelem z placu Andrzeja do nowej części dworca. Budynek po remoncie wyglądał atrakcyjnie, a najważniejsze, że było jasno i czysto. Białe kafle na posadzce były rzeczywiście białe, bo kilka razy dziennie czyściła je ekipa sprzątająca. Pachniało kawą. W jednym z małych barów kupił sobie czarny napój na wynos. Zdążył go wypić przed odjazdem autobusu.

Patryk z dziewczyną czekali na niego w domu. I choć Karol ich zapewniał, że mogą zostać na kolejną noc, nie przyjęli zaproszenia.

– Chcemy zobaczyć wasze słynne dzielnice, Nikiszowiec i Giszowiec, mamy na to czas do wieczora, a potem pojedziemy do Krakowa – powiedział Patryk.

– Zobaczcie wystawę w muzeum, będziecie wiedzieli, jak wyglądały śląskie mieszkania, a także jak zorganizowano życie codzienne na robotniczym osiedlu, a gdy zgłodniejecie, wstąpcie coś przekąsić do Byfyja. Obok jest też piekarnia i cukiernia, gdzie oferują same pyszności – polecał Karol.

– Dobrze, że nam podpowiadasz, wprawdzie mamy wydrukowane wskazówki z Internetu, ale nie ma to jak dowiedzieć się takich rzeczy z pierwszej ręki, dzięki. – Dziewczyna Patryka uśmiechnęła się, pokazując zęby z aparatem ortodontycznym. – I bardzo nam głupio, że przez nasze gapiostwo mieliście zepsuty weekend, przepraszamy – dodała skruszona.

– Nic się nie stało, nie przesadzajmy – powiedział, widząc ciągle zakłopotaną minę Patryka i jego dziewczyny.

*

Karol nie musiał się przed nikim tłumaczyć, dlaczego wrócił wcześniej. Nie mieszkał w domku z ogródkiem i wielopokoleniową rodziną. Trzymał się z boku i bardzo mu to odpowiadało. Zasnął na sofie, przed telewizorem, a kiedy po godzinie się obudził, nie czuł niewygodny z powodu nieudanego wyjazdu i wszystko wydawało mu się prostsze. Skoro Sonia taka narwana, niech się troszczy o siebie, pomyślał i poczuł się zwolniony nawet z tych słów, których w czasie spotkania się z nią nie wypowiedział. Trzeba zdobywać doświadczenia, pocieszył się i chwilę potem zadzwonił do Eweliny.

– Któż to do mnie dzwoni i czego chce? – odebrała od razu, pytając zalotnie.

– Czy masz ochotę pójść ze mną na spacer? – Karol natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Na spacer trochę zimno, ale do kina albo do galerii bardzo chętnie, tylko co na to twoja dziewczyna?

– Która? – Roześmiał się Karol.

– No, też coś, nie wiedziałam, że masz ich kilka. Pomyślałam o Soni, nie chciałabym, aby się na mnie rzuciła, bo mam precyzyjnie zrobiony makijaż.

– Sonia nigdy nie była moją dziewczyną, tak więc nie masz się

czego obawiać, a poza tym, gdyby nawet tak się zdarzyło, że ją po drodze spotkamy, pamiętaj, że jesteś ze mną, Karolem Zdobywcą Pierwszym, a to znaczy, że nikt nawet nie ośmieli się krzywo na ciebie spojrzeć.

– Brzmi to bardzo obiecująco, więc zadzieram kiecę i lecę. Gdzie się umawiamy? Wyfruwamy do centrum? Masz brykę od starszych?

– Może jeszcze nie wiesz, ale pogardzam brykami od starszych. – Karol zareagował inteligentnie i błyskawicznie. – I dopóki nie będę miał własnej, nie zamierzam obwozić swoich dziewczyn samochodem rodziców.

– „Swoich dziewczyn”, no, no, brzmi to bardzo zachęcająco. – Ewelina wyraźnie się ucieszyła. – W takim razie to ja wezmę auto od starszych, bo nie mam podobnych skrupułów, podjadę przed delikatesy Piotr i Paweł, na parking, czekaj.

– Świetnie, lubię być wożony przez takie niezależne dziewczyny. – Karol nie skąpił Ewelinie pochwał.

– W takim razie zbieraj się.

– O której mam być?

– Jak to o której? Zaraz.

Karol był zadowolony, że tak szybko, bez zbędnych ceregieli, umówił się z Ewelina. Założył czysty T-shirt, zjadł dwa banany, umył zęby i wyszedł z domu. Postanowił się nie śpieszyć, ale nawet idąc powoli, po dziesięciu minutach doszedł do parkingu. Ewelina już czekała. Z czerwonej toyoty dobiegał głośny heavy metal.

– Witaj, piękna. – Karol nachylił się nad Ewelina, by ją pocałować w policzek. Podała mu usta, intensywnie błyszczące i smakujące błyszcznikiem malinowym.

Była tak inna od Soni, że wyraźnie dodało mu to animuszu. Miała krótkie czarne włosy, przystrzyżone wymyślnie, asymetrycznie, z prawej strony prawie wygolone nad uchem. Z prawej brwi zwisały dwa srebrne kółka. Nieco większe tkwiły w obu małżowinach. Rzeczywiście, makijaż miała ostry, szczególnie podkreślone oczy. Twarz z gładką cerą i dobrym make-upem wyglądała wręcz porcelanowo.

– Pięknie wyglądasz. – Karol dotknął jej kolana wystającego spod kusej spódniczki z falbanką.

- Wiem.
- Nie będzie ci zimno?
- Przy tobie? W kinie? Myślę, że zdejmę jeszcze tę skórzaną kurtkę.

Obietnice, które Ewelina składała, trochę Karola peszyły, ale nie dawał tego po sobie poznać. Z drugiej strony był nawet zadowolony z takiego tempa, bo wzdychania na odległość i oczekiwania na przymilanie się przy każdej okazji miał już dość. Ewelina szybko dojechała do galerii Silesia City Center, błyskawicznie wypatrzyła miejsce na podziemnym parkingu i zgrabnie ustawiła samochód.

– Znasz repertuar, wiesz, który film chciałabyś zobaczyć? – zapytał, kiedy już prawie byli przy kasach.

– Czy to ważne?

Podeszła zdecydowanie do kasjera i powiedziała:

– Proszę dwa bilety na teraz, na film cieszący się najmniejszą popularnością.

– Najmniejszą? – upewnił się kasjer.

– Tak, najlepiej, żeby sala była zupełnie pusta – potwierdziła, a Karol, stojący obok, przytaknął.

– To chyba na kreskówkę, bo wykupiono tylko cztery bilety, a seans już się zaczyna.

– Świetnie – powiedziała Ewelina. – Więc dwa bilety na kreskówkę proszę.

Odsunęła się lekko od kasy i wyraźnie zrobiła miejsce Karolowi, by zapłacił za bilety. Karol wyciągnął sto złotych i podał sprzedawcy.

– Widzę, że wolisz gotówkę zamiast karty.

– Co kesz, to kesz.

– Masz rację.

– A poza tym nie daję szansy, by mnie namierzyli, śladów po sobie nie zostawiam.

– Coraz bardziej mi się podobasz.

Sala kinowa rzeczywiście była pusta. W środkowych rzędach siedziały dzieci z dziadkami.

Ewelina weszła prawie na samą górę, zajęła miejsce w przedostatnim rzędzie. Zdjęła kurtkę, usadowiła się wygodnie. Karol

usiadł obok i też zdjął kurtkę. Od razu się do niego przytuliła. Przygarnął ją ramieniem. Pachniała dyskretnie.

– Gumę do żucia? – zaproponowała.

– Teraz? – zdziwił się Karol.

– Możemy teraz i możemy potem.

– Wolę potem.

Wtulił głowę w jej szyję.

– Popatrzymy trochę?

– Niekoniecznie.

– A jak mama zapyta, na jakim filmie byłeś?

– Nie żartuj, nie zwykłem się zwierzać ani spowiadać.

– To też mi się podoba, to tak jak ja.

Ujął jej twarz w dwie ręce, pocałował lekko, potem długo i namiętnie. Odwzajemniała pocałunki gorliwie.

Reszta poszła łatwo.

6. Mieć czy być?

Niedzielny wieczór Sonia spędziła przy biurku i komputerze. Wyławiała z Internetu informacje o Arturze Gotzu. Już notka w Wikipedii ją oszołomiła. Co to znaczy na przykład, że na scenie występował od jedenastego roku życia. Jakiej scenie? Szkolnej? Zapisała to pytanie z nadzieją, że je kiedyś zada. Bo jeśli tak, to i ona nie jest gorsza, nawet lepsza, bo występowała na scenach od przedszkola, zawsze chętnie uczyła się okolicznościowych wierszyków, śpiewała, a już najbardziej lubiła przywdziewać kostiumy, szczególnie kiedy wcielała się w księżniczki czy dobre wróżki.

Dalej zaczynały się już dokonania, którymi mógł się pochwalić ktoś, kto rzeczywiście od dziecka wiedział, czego chce. „W wieku 15 lat rozpoczął współpracę z teatrem The Imagination w Londynie, gdzie wystąpił w trzech spektaklach” – przeczytała. Nie wiedziała, co to za teatr, od razu zaczęła szukać, ale nic nie znalazła, więc zapisała kolejne pytanie. Przejrzała dokładnie stronę internetową artysty i obejrzała zamieszczone tam fotografie. Nie mogła uwierzyć, że trzydziestodwuletni chłopak, więc w jej odczuciu nie taki znów młody, wyglądający jednak na jej rówieśnika, miał tak ogromne osiągnięcia, że można by nimi obdzielić kilka osób, a każda z nich i tak miałyby się czym pochwalić.

Utworzyła w dokumentach katalog, gdzie zgromadziła znalezione fotki. W osobnym pliku notowała pytania. W jeszcze innym ciekawe cytaty z jego wywiadów. Na tablicie w notatniku wypisała teatry, w których aktor grał, a także tytuły sztuk, które zupełnie nic jej nie mówiły, ale postanowiła przeczytać recenzje, by się dowiedzieć jak najwięcej. Miała zamiar doksztalcać się w każdej wolnej chwili, podeszła więc do zadania metodycznie, Daniel by ją pochwalił.

Kiedy wspomniała Daniela, chwyciła za telefon. Obiecał przecież do niej zadzwonić, a tego nie zrobił. Czy już wie, co się stało, czy widzi tę plotkarską zadymę na fejsie? Odebrał od razu.

– Właśnie miałem do ciebie dzwonić – powiedział.

- Tere-fere, tak się mówi, kiedy się zapomniało.
- Nie zapomniałem, tylko nie chciałem ci przeszkadzać.
- Następna ściema.
- No dobrze, niech będzie po twojemu, że zapomniałem, ale uwierz, to telepatia, wziąłem telefon do ręki, by wybrać twój numer, a ty dzwonisz.
- I w dodatku nic nie chcę.
- A szkoda.
- Ty to mi zawsze humor poprawisz.
- Z tego, Soniu, prosty wniosek: trzeba więcej ze mną przebywać.
- Będzie ku temu okazja, bo przygotowuję się do rozmowy z Arturem Gotzem, aktorem, który za kilka dni ma koncert w Katowicach, i chciałabym z nim zrobić wywiad do naszej gazetki.
- Świetnie, widziałem jego teledysk *Milionerzy*. Był kręcony w Old Timers Garage, czyli dziesięć kroków od nas, w tym pubie ze starymi samochodami.
- Też widziałam teledysk, ale tak byłam wpatrzona w Artura, że ominęłam tło.
- Z jednej strony dobrze, ale z drugiej wolałbym, żebyś była wpatrzona we mnie.
- Oj tam, oj tam, co z wami, panowie, ty chyba nie chcesz zostać moim idolem?
- Chciałbym...
- Idolem? Proszę cię...
- Kimś więcej chciałbym, Soniu.
- Ładnie wymawiasz moje imię.
- Zapiszę się na kurs emisji głosu, wówczas zakochasz się w swoim imieniu wymawianym przeze mnie.
- Obiecuję. Zejdźmy jednak na ziemię. Jak myślisz, czy jeśli do niego napiszę, to on się zgodzi na wywiad?
- Tobie nikt nie odmówi.
- Pytam poważnie, bo wiesz, to gazetka szkolna.
- Ale wychodzi również jako e-gazeta i jest drukowana w aż 30 egzemplarzach.
- Ha, ha, no tak, to jest argument nie do zbiccia.

- Każdy od czegoś zaczyna. Jak już będziesz słynna jak Oriana Fallaci, to pochwalisz się, gdzie zaczynałaś.
- W takim razie uczyć się Artura dalej, pa.
- Już koniec?
- Koniec, dobrze mi, że do ciebie zadzwoniłam.
- Mnie jeszcze lepiej, będę miał boską noc.
- Umiesz mnie rozśmieszyć, pa.

*

Sonia rozpogodziła się po rozmowie z Danielem. Odnalazła teledysk *Milionerzy* i słuchała go zbyt głośno, w dodatku trzy razy z rzędu.

- Trochę za głośno, Soniu – powiedziała mama, która stanęła w progu pokoju.
- Zobacz, mam, pójdę na jego koncert.
- O, to piosenka aktorska, dobrze, że nie jakieś łubu-dubu.
- Co masz przeciwko łubu-dubu?
- Wszystko.
- Mamo, nie możesz mieć kłapek na oczach, jedni słuchają rocka, drudzy muzyki poważnej.
- Przeciwko rockowi nic nie mam, bo to nie łubu-dubu.
- W takim razie nie wiem, co to dla ciebie znaczy.
- Łubu-dubu to badziewie.
- Badziewie, czyli gówno.
- Och, Soniu, nie musisz być aż tak bardzo elokwentna. I bez tego wiem, jak bogaty masz słownik.
- Nie wiesz, zapewniam cię.

Sonia spojrzała na mamę badawczo, jakby oczekiwała zdecydowanie negatywnej reakcji i chciała być na nią przygotowana.

- Zapewniam cię, córeczko, że wyobraźni mam w nadmiarze, ale wolałabym cię nie słyszeć w akcji.
- OK, masz to załatwione.
- Soniu, wsłuchaj się w tekst: „A gdy trzymam cię w ramionach, Erich Fromm mnie nie przekona, dzisiaj trzeba być i mieć”. Wiesz, co to znaczy?

– Że trzeba być i mieć to kumam, jeśli się nie ma, to się nie jest, proste.

– Soniu, na Boga, nie gorsz mnie. Naprawdę tak myślisz?

– Mamo, na jakim świecie żyjesz? Nie widzisz, co się liczy? Fura i najnowsza komóra, penthouse i ruda wiewióra. Te uduchowione bzdety są już niemodne, nawet ludzie kultury się fotografują na tle nowego ferrari, nawet pisarze, a ty byś chciała, abym ja była jakąś mistyczką na pustyni?

– Nie o to chodzi, by nie mieć, ale o to, by nie być skrajnym materialistą, by nie żyć konsumpcyjnie. Umawiamy się tak: przeczytasz Fromma *Mieć czy być*, a potem porozmawiamy.

– Żartowałam, wcale tak nie myślę, wiem, że najważniejsze jest życie cnotliwe.

– Teraz kpisz, ale książkę i tak przeczytasz, stoi w salonie na regale pod oknem.

– A co ja złego zrobiłam? Nawet nie wiem, czy autor to baba, czy facet.

– To się dowiesz.

– No i widzisz, taki miły był wieczór. Pokaż tu matce, czego słuchasz, podziel się fascynacją, pokaż aktora i teledysk, to tak ci przy... przyfasoli, że przez tydzień z biblioteki nie wyjdiesz.

– Już nie gdakaj, nie gdakaj – powiedziała mama. – Aha, a na koncert możesz iść, jak najbardziej – dodała, zamykając za sobą drzwi.

Sonia sprawdziła od razu obco brzmiące nazwisko: Fromm. Niemiecki filozof, psycholog, socjolog i psychoanalityk, autor wielu książek, z których najgłośniejsze to *Ucieczka od wolności*, *O sztuce miłości* i właśnie *Mieć czy być*.

Ciekawe, gdzie ludzie zdobywali wiedzę, i to szybko, kiedy nie było Wikipedii, pomyślała. Jak znam nasz dom, to na półce stoją wszystkie książki tego Fromma, pomyślała.

Koleżankom czasami wyjaśniała, że ojciec wykonuje zawód nauczyciela matematyki, natomiast poza lekcjami jest filozofem, dlatego mieszkają w domu po dziadkach. Tak to bywa, kiedy ojciec woli się doładowywać duchowo niż przekwalifikować zawodowo i zarabiać, aż dziw, że mamie to podchodzi, tłumaczyła. Widocznie go kocha bez

względu na wzgląd, żartowała.

Przy okazji szperania w Internecie dowiedziała się, że motyw „mieć lub być” wykorzystano także w innych tekstach: w piosence zespołu Myslovitz: „Mieć czy być – czy Erich Fromm wiedział, jak żyć?”, Kazik na żywo: „Psychoanaliza to do ciebie mnie zbliża” ... Zapisała sobie kolejne pytanie, która zada aktorowi: „Czy wie pan, które polskie zespoły nawiązują w piosenkach do książek Ericha Fromma?”.

Była zadowolona, że nie zmarnowała niedzieli i nie spędziła jej na popłakiwaniu w kącie, choć nieraz jej się na płacz zbierało. Tym niemniej czuła się rozbita i wieczorem długo nie mogła zasnąć, a jak już jej się udało, to spała nerwowo, budziła się często, aż w końcu o godzinie piątej zrezygnowała z przewracania się w łóżku.

Najchętniej wymyśliłaby jakieś małe kłamstwo, by nie pójść do szkoły. Oznaczałoby to jednak tyle, że się boi albo wstydzi. Wiedziała, że musi udźwignąć wszystko, co ją czeka. Niewiadomych było wiele. Jak wobec niej zachowa się Karol? Jak Ewelina? Czy koleżanki będą dopytywać, czy tylko obserwować, plotkować i szydzić po cichu? Gdyby zrezygnowała ze szkoły, mama zaczęłaby węszyć, obserwować ją czujnie, jak na psychologa przystało, a potem wiercić jej dziurę w brzuchu pytaniami, na które odpowiedzieć by na pewno nie chciała, a może i nie potrafiła.

Wyszła z domu z wielkim bólem w środku, czuła się jak Syzyf, który dźwiga głaz pod górę i wie, że kiedy będzie u szczytu, głaz spadnie i wszystko trzeba będzie powtórzyć. Dreptała małymi krokami, ze spuszczoną głową. Gdyby mogła się przemieszczać kanałami, chętnie by to zrobiła. Weszła do szkoły, akurat gdy zabrzmiał dzwonek, i w klasie znalazła się tuż przed nauczycielką matematyki. Od razu poczuła na sobie spojrzenia wszystkich, jakby im głowy wykręciło w stronę okna, w kierunku drugiej ławki.

– Sorki, że nie dzwoniłam wczoraj, ale wiesz, nie chciałam być wścibska – szepnęła Justyna, siedząca z Sonią w ławce.

– Mogłaś zadzwonić i nie być wścibska.

– To prawda, mogłam, ale jak? – zapytała bardziej siebie niż Sonię.

– Popatrz, popatrz, nagle się taktowna zrobiłaś. Mam nadzieję, że powiedziałaś wszystkim, że nazwałam Ewelinę lafiryndą.

- Co ty, nikomu.
- Dzięki, bo trochę przesadziłam.

Na lekcji Sonia nie potrafiła się skupić. Przerwy przetrwać było jeszcze trudniej. Miała nadzieję, że stanie się cud i Karol przynajmniej podejdzie i powie krótkie „przepraszam”. Nic takiego się nie stało. Karol stał pod oknem, na pierwszym piętrze, w pobliżu pokoju nauczycielskiego, otoczony grupą chłopaków, głośno wymieniających uwagi o którejś z gier internetowych. Soni nic to nie mówiło, bo grami się nie interesowała, za co przynajmniej matka ją chwaliła.

Z góry schodziła Ewelina, pewna siebie, uśmiechnięta, jakby stąpała po czerwonym dywanie. Sonia od razu ją zauważyła, choć była dopiero w połowie korytarza. Zwolniła, by z dystansu popatrzeć, co się wydarzy. Chłopcy się rozstąpili, więc Ewelina nie musiała się do Karola przepychać. Stała na wprost niego i pocałowała go w usta. Nie był to krótki pocałunek. Karol go odwzajemnił, ale udawał, że się broni, bo machał rękami, jak gołąb, który zamierzał odfrunąć, ale zoczył jeszcze kilka okruchów, więc się na nie skusił.

Sonia przeszła obok i odwróciła się dopiero wówczas, kiedy była w połowie schodów. Karol obejmował Ewelinę, ale patrzył za Sonią, bo od razu jej pomachał. Nie odwzajemniła tego gestu, wydał jej się pusty i złośliwy. Widocznie i Karol miał potrzebę zmanifestowania złości. Ścisnęło ją znów w gardle, przełknęła zduszone łzy i utwierdziła się w postanowieniu, że się odegra, choćby i mało szlachetnie, ale na pewno tak, że Karol zacznie w niej dostrzegać przeciwnika, z którym nie warto zadzierać ani rywalizować. Do poziomu Eweliny postanowiła się nie zniżać, nie zamierzała reagować na jej ewentualne ekscesy.

Justyna nie zadawała pytań, położyła przed Sonią obraną mandarynkę, co było dla niej prawdziwym dowodem sympatii. Daniel obserwował Sonię z boku, a ilekroć zdarzyło mu się być w pobliżu, nucił melodię piosenki *Milionerzy*.

– Co tak podśpiewujesz? – zapytała w końcu zaintrygowana Justyna.

– Nie znasz? To świetna piosenka i dobry teledysk, nagrany w dodatku u nas, w pubie ze starymi samochodami.

– Teledysk? Chętnie zobaczę. A kto śpiewa?

- Aktor, z którym Sonia będzie niedługo przeprowadzała wywiad.
- Daniel podsunął jej nagranie na swoim telefonie.
 - Niezły jest, choć to nie ten rodzaj muzyki, której słucham.
 - Ach, zapomniałem, że ty tylko disco polo – powiedział uszczypliwie.
 - Nie bądź wredny, nie tylko, nie tylko.

Daniela otoczyły inne dziewczyny z klasy. Zerknęły w jego telefon, po czym wpisywały nazwisko w YouTube i po chwili w klasie rozbrzmiewała ta sama piosenka, niestety, w wielkim zgiełku, bo dźwięki zachodziły na siebie, słowa się prześcigały, w jednym telefonie był początek, w drugim koniec, w trzecim refren.

- Całkiem przystojny – powiedziała Zosia.
- Taki delikatny – dodała Werka.
- Ma jednak coś diabłowatego w oczach, kiedy patrzy spod jasnej grzywki.

– Może wystarczyłoby tylko to, że dobrze śpiewa? – odezwała się Sonia.

– No, nareszcie przemówiła, a już myślałyśmy, że dopadła ją żałoba po Karolu – powiedziała Justyna.

Sonia spojrzała na koleżankę oburzona, jakby zdradziła jej wielką tajemnicę.

- Po pierwsze, mów za siebie, a po drugie, nie wtrącaj się.
- Nic złego nie miałam na myśli, jestem po twojej stronie, nie widzisz?

Sonia nie widziała. Była pewna, że wszyscy się z niej podśmiewają.

7. Krótka odpowiedź

Im więcej wiedziała o Arturze Gotzu, tym bardziej go podziwiała. Kiedy porównywała się z nim, traciła moc i wiarę w siebie, a wtedy chciała się wycofać z przeprowadzenia wywiadu.

– To mi się nie uda – powiedziała Danielowi.

– Uda, nie uda... zmień kategorię, Soniu – zasugerował.

– Co to znaczy?

– Pytaj raczej tak: „Będzie miał dla mnie piętnaście minut czy pół godziny?”. Wtedy konkretniej zaplanujesz rozmowę. Tobie nie ma się udać, ty masz tę rozmowę przeprowadzić najlepiej. I tyle.

Lista pytań do aktora się wydłużała. Wieczorem wydawały się Soni ciekawe, rano beznadziejne. Na lekcjach była jak nieobecna, fruwała myślami w innych rejonach i myślała tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w domu, przeglądać zdjęcia Artura, słuchać piosenek, czytać artykuły o nim.

– To mi się nie uda, przecież przy nim jestem nikim – marudziła przy kolacji.

– Nie porównuj się z nim – powiedziała matka.

– Dlaczego nie?

– Nie porównuj się z nikim – dodał ojciec. – Zawsze będzie ktoś lepszy lub gorszy od ciebie.

– Ty to jesteś ty, a on to on – zauważyła Aniela.

– Ależ odkrycia dokonałaś!

– W tym, co powiedziała Aniela, tkwi filozoficzna racja, nawet i głębia – tłumaczył ojciec, a z jego miny można było wywnioskować, że teraz zasypie rodzinę wywodami.

Anieli wprawdzie spodobało się, że została pochwalona, ale i tak spojrzała na siostrę porozumiewawczo, bo wiedziała, że jeszcze chwila, a ojciec zacznie głądzić, zasypując córki przykładami. Sonia spojrzała na mamę, która jednak nie przyszła im z pomocą. Bezradnie i nieco ostentacyjnie rozłożyła ręce, jakby chciała powiedzieć: „Pozwólcie się ojcu wygadać”.

– Tato, przestań, tu nie o filozofię chodzi, tylko o to, że nie jestem ani ważną osobą, ani nie reprezentuję ważnej gazety. – Sonia była wyraźnie zirytowana.

– Zawsze chodzi o filozofię, czyli o podejście do zagadnienia.

– Soniu, zarezerwowałaś bilet na koncert? – zapytała mama.

– Nie. A powinnam?

– Jeśli to popularny aktor śpiewający, w dodatku rodem z Piwnicy pod Baranami, to powinnaś zaklepać sobie miejsce, prawda, Ryszardzie?

– Agatko, czy zauważyłaś, że tym pytaniem przerwałaś moją dysputę z córkami? – zwrócił się Ryszard do żony.

– Przepraszam, kochany, ale chyba chcesz, by córka poszła na koncert.

– Napisałaś do niego? – wtrąciła Aniela.

– Jeszcze nie.

– No to o czym my mówimy? – podsumowała mama.

– No, co tak patrzycie? Myślałam, że po prostu pójdę do teatru i kupię bilet. A potem się zobaczy, co będzie dalej.

– Uważam, że trzeba do tego podejść logistycznie, a to znaczy, że najpierw...

– Tato, proszę, weź przestań, z logistyki nie jestem najgorsza, jeśli oczywiście zechcę. – Sonia odzyskała dawny animusz, jakby na powrót miała siłę góry przenosić.

– Coś mi się wydaje, że jako błogosławiony między niewiastami muszę siedzieć cicho. – Ojciec wrócił do czytanej gazety.

*

Adres e-mailowy Artura Gotza, zamieszczony na jego stronie internetowej, Sonia już zdążyła wpisać do kontaktów. Teraz siedziała przy biurku, gapiąc się w otwartą wiadomość. Nie wiedziała, jak zacząć list do nieznanego. Najpierw napisała „Witaj”, ale szybko to skasowała, bo przecież nie powinna do nieznanego zwracać się jak do kolegi. Poza tym „witać” może tylko gospodarz, a nie gość. Babcia Nina często zżymała się na to modne słówko i przypominała zasady dobrego zachowania. „Szanowny Panie” brzmiało jej zbyt oficjalnie, a „Drogi Panie” – zbyt poufale.

Wybrała „Dzień dobry”. I znów utknęła. Nie wiedziała, czy od razu przejść do rzeczy, czy najpierw się przedstawić, czy napisać dużo, czy tylko pięć zdań. W temacie wiadomości napisała: „Prośba o wywiad”. Po wielu poprawkach list brzmiał tak:

Dzień dobry,

jestem licealistką i redaktorką szkolnej gazetki „Widziadło”. Chciałabym przeprowadzić z Panem rozmowę na temat realizowania marzeń, wykonywania pracy, która przynosi satysfakcję, potrzeby autorytetów i osiągnięcia sukcesów. Czy Pan się zgodzi?

Przyjdę na Pana koncert do Teatru Bez Sceny.

Serdecznie pozdrawiam,

Sonia Szarko

Kiedy wysłała e-mail, znów wpadła w przygnębienie. Zarzucała sobie, że list był nieatrakcyjny, że nie zrobiła nic, by zwrócić na siebie uwagę. Mogła napisać coś zabawnego albo przynajmniej zapewnić, że go podziwia od czasu ujrzenia plakatu na dworcu. W końcu zamknęła komputer, by dłużej się nie dręczyć. Napisała krótko, rzeczowo, bez zawilości. Odpowiedź też mogła być krótka: Tak/Nie. Dzisiaj/Za miesiąc. Przez dwa dni z nadzieją otwierała pocztę, sprawdzała też w szkole, przez telefon. W trzecim dniu przyszła odpowiedź: „Proszę, podejść do mnie po koncercie, kiedy będę podpisywał płyty”. Od razu zatelefonowała do Daniela.

- Zgadnij – powiedziała tajemniczo.
- Już wiem: wygrałaś dwuosobową wycieczkę do Paryża i zabierasz mnie ze sobą.
- Przeceniasz mnie, aż tyle szczęścia nie mam.
- Nie martw się, pojedę z przyjemnością nawet w Beskidy.
- Daniel, nie żartuj, ja poważnie.

– OK. Zgaduję dalej: Artur umówił się z tobą na rozmowę i jogurt ze świeżymi owocami.

– Widzę, że dobrze mi życzysz. Na razie odpisał, abym podeszła do niego po koncercie. Jak myślisz, czy to dobrze wróży?

– Wróżbita Daniel, numer jeden na rynku ezoterycznym w naszej szkole, powie ci prawdę i tylko prawdę: przed tobą wielka przyszłość, musisz tylko wierzyć w siebie i polegać na intuicji, słuchać głosu serca i uśmiechać się od ucha do ucha. Świat legnie ci u stóp, z Arturem na czele. Osiągniesz, co zamierzyłaś, tylko silna bądź i kąśliwe uwagi kumoszek klasowych wpuszczaj jednym uchem i wypuszczaj drugim.

– Daniel, pliiizzz, nie jestem w nastroju do żartów.

– Dobrze, dobrze, po prostu chcę cię jak najdłużej przytrzymać przy telefonie. Tak serio to myślę, że Artur zgodzi się na rozmowę, spisz pytania i pamiętaj, że każde jest mądre, choćby i naiwne.

– To rozumiem. Dzięki za wsparcie.

– Jeśli chcesz, mogę pójść z tobą na koncert jako prywatny ochroniarz.

– Przed czym miałbyś mnie chronić?

– Jak to przed czym? Przed tym, aby mężczyzna prawie idealny nie rzucił na ciebie uroku.

– O to się nie martw, zawiążę sobie na szyi czerwoną apaszkę, jak Justyna swojemu psiakowi. Poza tym łatwa nie jestem.

– O tym nie musisz mnie przekonywać.

8. Wagary z teatrem

W szkole Soni nie wiodło się dobrze. Nie potrafiła się skupić, myślami krążyła daleko od tematów lekcji. Siedziała z głową wciśniętą w ramiona, jakby chciała siebie umniejszyć, by nikt, a w szczególności któryś z nauczycieli, jej nie zauważył. Ani książki jej się otworzyć nie chciało, ani zeszytu. Zupełnie zapomniała o lekturze *Makbeta*. Miała nadzieję, że się przemyci, włączy w rozmowę na lekcji, bo dyskutować lubiła, ale jak mogła to zrobić, skoro nawet nie śledziła przebiegu lekcji? Poza tym coraz częściej dopadały ją niemoc, słabość. Nie było to związane z lenistwem, tylko z jej ogólnym stanem psychofizycznym, jakby emocje, które próbowała tłumić, znajdowały sobie w ten sposób ujście i manifestowały się, buntując ciało.

– Czy dla ciebie Lady Makbet jest także uosobieniem destrukcji? – zapytał nauczyciel, który słynął z tego, że traktował młodzież poważniej niż siebie i najchętniej roztrząsałby każdą rzecz filozoficznie, zupełnie jak ojciec Soni.

Sonia nie słyszała, co już zostało na ten temat powiedziane. Wyrwana ze swoich myśli najchętniej by się przyznała, że nie czytała dramatu, i miałaby spokój wymierzony odpowiednią oceną.

– Co pan rozumie przez destrukcję? – odpowiedziała pytaniem, licząc na to, że nauczyciel nie zdefiniuje pojęcia zbyt szybko, więc tym samym i ona będzie miała czas do namysłu.

– Przed chwilą o tym rozmawialiśmy, ale jak widzę, bliżej ci do Śpiącej Królowej niż do zrozumienia sposobów, jakimi kobieta potrafi omotać ambitnego mężczyznę.

– Ambitny mężczyzna sam sobie winien, bo gdyby mu ambicja nie przesłoniła oczu, toby widział, do czego zdolna jest zbyt ambitna kobieta – powiedziała Sonia.

Wydawało jej się, że mówi zupełnie w oderwaniu od *Makbeta*, bo problematyka utworu ledwie jej kołatała po głowie, ale jakieś strzępy z tego, co mówił nauczyciel, widocznie jednak do niej dotarły. Po minie polonisty, zwanego przez uczniów Guciem Zaczarowanym, a w skrócie

Guciem, wywnioskowała, że strzeliła w dziesiątkę, choć robiła to po omacku, i że teraz będzie już z górki.

– Celnne stwierdzenie! Jestem bardzo ciekawy, do czego może być zdolna zbyt ambitna kobieta – rzucił nauczyciel, liczący zapewne na to, że Sonia rozwinie swój wywód.

Sonia znów miała ochotę zareagować zaczepnie, ale w porę ugryzła się w język z obawy, żeby nie musiała podawać konkretnych przykładów z Szekspira.

– Zbyt ambitna kobieta zdolna jest do zemsty – powiedziała, a nauczyciel z zadowoleniem podniósł palec, więc nabrała pewności, że idzie w dobrym kierunku. – Do szaleństwa także – dokończyła.

– I tutaj również masz rację, choć szaleństwo bywa konsekwencją, a nie wyborem, to rozumiała.

Sonia usiadła i wzięła głęboki oddech. Przetarła czoło ręką, bo poczuła na nim wilgoć. Postanowiła, że przeczyta *Makbeta*, bo skoro tak celnie ripostowała, jak to wynikało z reakcji profesora, to znaczy, że jest to lektura dla niej.

– Ależ się obkułaś – szepnęła Justyna pełna podziwu dla koleżanki.

– Co ty, lałam wodę, nie czytałam *Makbeta*.

– Ha, ha, każdy tak mówi, kto dostał dobry stopień.

– Myślisz, że zostałam nagrodzona?

– No jasne, widziałam, jak Gucio wpisywał.

– To byłby rzeczywiście sukces tygodnia, bo przecież ostatnio mam same minusy, nie licząc miernych.

Najchętniej posiedziałyby trzy dni w cichym i ciemnym, jak zwykła mawiać jej mama, kiedy dopadała ją migrena. Snuła się wówczas po mieszkaniu z miną cierpięcicy, zasuwiała rolety, zamykała drzwi do sypialni, a i tak reagowała na każdy szmer, który wydawał jej się łomotem. Sonia nie mogła tak po prostu zostać w domu, musiałyby wymyślić kolejne kłamstwo i wówczas na pewno nie miałyby „ani cichego, ani ciemnego”, bo ciągle byłaby nękana pytaniami, szczególnie przez babcię, która lubiła się troszczyć w nadmiarze.

Kiedy jednak następnego dnia zobaczyła, że od rana świeci słońce i mróz jest niewielki, właściwie przymrozek, postanowiła pójść na węgry. Wyszła z domu godzinę później, kłamiąc, że poranna lekcja

wychowania fizycznego została odwołana. Po drodze nie zauważyła nikogo ze znajomych. Od razu wsiadła w autobus, który właśnie nadjechał. Nie miała żadnego planu, chciała tylko porozglądać się po ulicach, zaułkach, popatrzeć na witryny sklepów, a także znaleźć miejsce, gdzie swoją siedzibę ma Teatr Bez Sceny.

Najpierw jednak spędziła całe dwie godziny w katowickiej galerii handlowej, do której weszła wprost z dworca autobusowego. Przymierzyła kilka ciuchów i odłożyła je bez żalu. Nie należała do strojniś. Nic nie kupiła. Pieniądze pozostałe z prezentu urodzinowego zachowała na bilet do teatru i na nieprzewidziane, ale miłe przyjemności. Wszystko, czego potrzebowała, to wygodne spodnie, bluzy, kurtki, sportowe buty albo wysokie kozaki. Lubiła też legginsy i tuniki. Oczywiście miała „strój wyjściowy” na uroczystości szkolne i rodzinne: dwie krótkie kloszowane spódniczki, granatową i szarą, do tego białą bluzkę z rękawami trzy czwarte i drugą, jasnowrzosową.

Z kawiarni na parterze galerii wybrała tę, w której było najmniej ludzi i gdzie pachniało czekoladą. Zamówiła gorącą, deserową, z bitą śmietaną i chili. Lubiła ją smakować w zimie, bo wierzyła, że czekolada rozjaśnia umysł i dodaje energii. Otworzyła tablet i wpisała adres Teatru Bez Sceny, mieszczącego się przy ulicy 3 Maja 11. Ten kameralny teatr, którego repertuar jest oparty na wartościowej dramaturgii, tułał się po różnych scenach przez osiemnaście lat, zdobywając w tym czasie pięciokrotnie Złote Maski i inne nagrody oraz zapraszając do współpracy kilkudziesięciu artystów. Obecna siedziba teatru mieści się w dawnej hurtowni butów.

To wszystko wydawało się Soni bardzo ciekawe. Tym ciekawsze, że nie знаła innych katowickich teatrów, prócz Ateneum, do którego chodziła z babcią Niną, a czasem z rodzicami, kiedy była dzieckiem, i Teatru Śląskiego, do którego czasem przychodzili z całą klasą. Bywała jeszcze w Teatrze Rozrywki w Chorzowie, na musicalach. Było jej trochę głupio, że co najmniej pięć lat straciła, nie interesując się tym, co się dzieje w teatrach jej miasta. Jeśli poważnie chce myśleć o dziennikarstwie i wiązać swoje pisanie z kulturą, to musi nie tylko czytać lektury, lecz także bywać na różnych imprezach, tak pomyślała, a właściwie nawet postanowiła.

Czekolada była pyszna, szkoda tylko, że tak szybko traciła temperaturę. W domu podgrzałyby ją w mikrofalówce, tutaj mogła jedynie szybciej wypić, ale nie o to przecież chodziło, urok smakowania polega na powolności. Poczuła, że zadźwięczał telefon umieszczony w kieszeni kurtki. Dzwoniła Justyna w czasie długiej, czyli piętnastominutowej, przerwy, po trzeciej lekcji.

– Halo – próbowała modulować głos, ale nie wiedziała, czy ma być radosna, czy obolała.

– Chora jesteś? – zapytała koleżanka z troską.

– Tak, czuję się fatalnie i z godziny na godzinę gorzej.

– Naprawdę czy ściemniasz?

– Naprawdę... to znaczy trochę ściemniam.

– Sonia, co się dzieje?

– Rano poczułam, że nie mam siły, by wejść do szkoły.

– I...

– Co i...? I nie weszłam, to znaczy nie poszłam na lekcje, nigdy tak nie miałaś?

– No tak, ale dzisiaj jest klasówka z matmy, zapomniałaś? Wiesz, jak zareaguje matematyka, jak nie będziesz miała zaświadczenia od lekarza? Nabierze pewności, że chciałaś się wykręcić, i wtedy klapa na całej linii.

– Zapomniałam, naprawdę, na śmierć zapomniałam. Gdybym pamiętała, to może bym się przemogła.

– To szybko biegnij do lekarza i pościemnij solidnie, jesteś w tym dobra.

– Trudno, już nic nie załatwię, przyznam się do wagarów i tyle.

– Rób, jak chcesz, ale zapamiętaj, że podsunęłam ci rozwiązanie.

– OK, dzięki, dobra z ciebie koleżanka.

– Jak chcesz, to przyjdę po lekcjach.

– Raczej nie, bo dziś wcześniej kończymy, a ja nie zdążę wrócić.

– To gdzie ty jesteś?

– Teraz w galerii, a potem idę do teatru po bilety na koncert, mówię ci, Justyś, siedzimy w tej szkółce i młócimy wiedzę, a tutaj świat żyje, kwitnie, dzieje się mnóstwo fajnych rzeczy, o których nawet nie miałam pojęcia, trzeba to zmienić.

- Można by chyba pogodzić szkołę i te cudowności, co?
- Coś taka porządna się zrobiła, jakbyś nigdy na wagarach nie poszła?
- To prawda, nigdy nie byłam na wagarach, nie chciało mi się kombinować przed rodzicami, nauczycielami, to już wolałam pomęczyć się w szkole.
- Jutro przyjdę, ale nie mów nikomu, gdzie jestem, dobrze?
- Nawet Danielowi?
- Dlaczego on miałby być wyjątkiem?
- No wiesz, Daniel to Daniel.
- Nie mów, a jeśli zapyta, to powiedz, że ledwo dycham, ale właściwie dlaczego miałby pytać?
- Bo Daniel...
- To Daniel.

Justyna była córką lekarzy, więc zapewne trudniej byłoby jej udawać jakąś przypadłość. Była dziewczyną ogólnie zdyscyplinowaną, nie miały jej się dowcipy na lekcjach, plotkowanie o innych. Koleżanki w klasie mówiły, że rodzice ją krótko trzymają i sprawdzają na każdym kroku. Sonia nie odniosła takiego wrażenia, kiedy zdarzyło jej się odwiedzić Justynę w domu. Wydawało jej się, że wprost przeciwnie, Justyna ma dużo luzu i może robić, co chce, i w dodatku wcale nie musi się tłumaczyć z czasu spędzonego poza szkołą.

Była wiotka, drobna, nie rzucała się w oczy ani wyglądem, ani zachowaniem. Na dodatek ubierała się w same szarości, jakby inne kolory dla niej nie istniały. Nawet czapkę czy szalik miała szaroburą. Wydawać by się mogło, że celowo robiła wszystko, aby stać się przeźroczysta. Nikt nie uwierzyłby, że jest najstarsza w klasie i jako pierwsza, już w styczniu, skończyła siedemnaście lat. Z tej okazji zaprosiła do domu kilka koleżanek i wszystkie przyszły, bo Justyna była życzliwa dla innych, a poza tym każda z dziewczyn chciała się dowiedzieć o Justynie czegoś więcej.

Mieszkała już prawie pod lasem, w małym domu, gdzie mieścił się także prywatny gabinet lekarski jej mamy, która była laryngologiem. Koleżankom mama Justyny bardzo się spodobała, bo kreowała się na równiaczkę. Przedstawiała się, podając tylko imię, i zamiast „dzień

dobry” mówiła „cześć”. Ubierała się bardzo młodzieżowo i unikała szarości. Z Kaśką i Dorką chciała się umawiać na *shopping*. Narzekała, że Justyna nie lubi spędzać czasu na oglądaniu ciuchów i na zakupach. Im mama była bardziej rozmowna, tym Justyna bardziej milcząca. Dziewczyny też poczuły się nieswojo, bo nie chciały przy niej opowiadać o chłopakach i swoich sprawach.

Justyna przyniosła z kuchni przygotowane frykasy i zaproponowała seans filmowy na ogromnym telewizorze. Dopiero wówczas okazało się, że hobby Justyny to filmy. Świetnie się orientowała nie tylko jeśli chodzi o aktorów, ale także reżyserów i kompozytorów muzyki filmowej. Miała cały regał płyt ułożonych gatunkami. Gdyby nie zaproszenie na urodziny, nikt w klasie nadal nie wiedziałby nic o Justynie, bo nie lubiła się chwalić. Wśród koleżanek cieszyła się uznaniem, ale mało kto, prócz Soni, zadał sobie trochę więcej trudu, by ją lepiej poznać i zauważyć, jaka jest akuraterna, solidna i pilna.

Sonia myślała o koleżance ciepło i z podziwem. Też chciałaby mieć pasję i być w czymś naprawdę dobra. Nie był to jednak czas konstruktywnego myślenia w jej życiu, czuła bowiem, że płacze się w pomysłach i emocjach. Ciągle bolał ją widok Karola obściskującego się na szkolnym korytarzu z Ewelina. Kiedy na nich patrzyła kątem oka, przysięgała z coraz większą gorliwością, że się odegra i że jeszcze ją popamiętają, i docenią. W przyływie bardziej racjonalnego myślenia wstydziła się tych gróźb rzucanych w powietrze i znów była w punkcie wyjścia, nie wiedziała, co ma zrobić, jak się poukładać, uspokoić i jak ogarnąć swój pokruszony świat.

Schowała tablet do plecaka, włożyła kurtkę i czapkę. Do otwarcia kasy w teatrze pozostała jeszcze godzina, ale chciała przyjść wcześniej, zobaczyć miejsce, aby w dniu koncertu nie zachowywała się jak ktoś, kto nie wie, którymi drzwiami się wchodzi, a którymi wychodzi. Znów poczuła, że dzwoni jej telefon. Zerknęła na ekran, to był Daniel.

– Justyna już się na mnie poskarżyła? – zapytała zadziornie.

– Justyna? W takim razie wcale nie znasz Justyny, przecież to bardzo dyskretna osoba.

– Żartowałam – powiedziała, bo zrobiło jej się głupio.

– Jesteś chora? Mogę cię odwiedzić?

- Nie, nie, jestem w podłym nastroju, poszłam na wagary.
- Szkoda, że sama, poszedłbym z tobą.
- Nie mówiłam, że sama.
- A... aaa, no tak, nie mówiłaś. – Daniel wyraźnie się speszył.
- Sama, oczywiście, że sama, nie chciałam nikogo zarażać swoją ponurą gębą – Sonia spróbowała przywrócić klimat rozmowy.

Przysiadła na ławce na środku pasażu, a kiedy podniosła głowę, zobaczyła Karola idącego na wprost. Już było za późno, by udawać, że go nie spostrzegła, tym bardziej że machał do niej uśmiechnięty i wyglądało na to, że podejdzie.

- Danielu, sorry, zadzwonię do ciebie za kilka minut, dobrze?

Schowała telefon do kieszeni. Karol z bliska już nie wydawał się tak radosny, jak z daleka. Przyglądał jej się chwilę w milczeniu.

- Długo tak będziesz patrzył? – zapytała, bo nie przyszło jej do głowy nic, co mogłoby przerwać tę sytuację, która ani trochę nie była jej na rękę.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale chciałbym, abyś wiedziała, że wszystko było nie tak, jak myślisz.

- Skąd wiesz, co myślę?

– Właściwie to nie wiem, bo nie dałaś mi szansy na wytłumaczenie.

- O czym tu rozmawiać? Sprawa jest prosta jak drut.

Zamanifestowałeś swój wybór dostatecznie wyraźnie.

- To nie tak, przemawia przez ciebie zazdrość i dlatego widzisz mnie jako padalca.

– Ho, ho, jakie trafne określenie. Padalec, na dodatek zarozumiały.

- Czy możemy pospacerować razem?

– Nie możemy, jestem umówiona.

- Szybko ci minęło, a jeszcze niedawno mówiłaś, że mnie kochasz.

– Za to ty nigdy mi tego nie powiedziałaś, więc dajmy spokój pretensjom, wracaj do Ewelinki.

- Jasne, wróć, przynajmniej wiem, na czym stoję. Tylko pamiętaj, że próbowałem porozmawiać.

Karol był wściekły, bo takiego obrotu sprawy się nie spodziewał. Był pewien, że oto przypadek podsuwa mu rozwiązanie, dlatego nie

zawahał się, by zaproponować spacer. I był pewien, że Sonia się zgodzi, w ten sposób przegna jej kwaśne miny, smutki i znów będzie jak dawniej. Teraz jednak i w nim zrodziły się wątpliwości. O co właściwie zabiega i w imię czego? Przecież nie jest ani trochę zakochany – ani w Soni, ani w Ewelinie. Obie mu się podobają, choć każda z innego powodu. Nie mógł natomiast znieść zawziętości Soni, jej buty, nie chciał dźwigać jej wygórowanej i zranionej ambicji.

Odwrócił się. Sonia nadal siedziała na ławce ze spuszczoną głową. Podeszedł ponownie.

– Myślisz, że wygrałaś, ale to się jeszcze okaże i pamiętaj, że pożałujesz, bo teraz już powrotu nie będzie – wycodził przez zaciśnięte zęby.

Patrzyła na niego ze strachem i choć się nie odezwała, to rosła w niej pewność, że dobrze zrobiła, odmawiając, ale też czuła, że to jeszcze nie koniec rozgrywek, bo ona też nie popuści. Nakręcała się powoli jak stary sprężynowy zegar. Czuła, że daleko jej do tego momentu, kiedy sprężyna natrafia na opór i od którego emocje opadają. W brzuchu jej zaburczało, co było objawem rozdygotania, bo u niej emocje gnieździły się w brzuchu, w żołądku, dopiero na końcu pojawiały się w oczach, które skrzyły się radością albo zachodziły łzami lub obojętną mgłą.

Wyszła z galerii i oślepiło ją słońce. Przeszła na drugą stronę ulicy. Na rogu Stawowej, w sklepie, gdzie niedawno handlowano perfumami i kosmetykami, teraz ustawione były buty, w większości zimowe. Tylko fontanna z żabą tkwiła jak dawniej, w tym samym miejscu od lat. Na drugim rogu ulicy też mieścił się sklep z butami. Na wystawie nie było jednak ani jednej pary, która by się mogła Soni spodobać. Minęła przystanek tramwajowy, kawiarnię, dom handlowy i podeszła przed wejście w podwórze, nad którym zawieszony był już duży szyld Teatru Bez Sceny Andrzeja Dopierały.

Podwórko było ponure, mury odrapane, ale na jednej stronie powstawał kolorowy mural. Przy bramie stały dwie duże donice z iglakami, które wносиły trochę zieleni i życia w podwórkową szarość. Latem na pewno będzie tu milej, mogłyby stanąć stoliki, pomyślała. Drzwi zaskrzypiały, kiedy nacisnęła klamkę. Pozostało jeszcze

piętnaście minut do otwarcia kas. W środku nie zauważyła charakterystycznego okienka. Po prawej stronie znajdowała się oszklona pakamera, jakby siedzisko nocnego stróża. Na ścianach wisiały obrazy, więc pierwsza sala pełniła także funkcję galerii. Spostrzegła wiele zakamarków i miała ochotę zajrzeć w ten po lewej stronie, kiedy podeszła do niej uśmiechnięta szczupła blondynka.

– Witam, witam. – Kobieta podała rękę i się przedstawiła: – Ewa Dopierała.

– Nosi pani nazwisko dyrektora teatru.

– Tak, bo jestem jego żoną, ale w teatrze niczym w domu, ogarniam przestrzeń i organizuję, co się da, nawet kostiumy projektuję – powiedziała rozbawiona.

– Bilet na koncert Artura Gotza też mogę u pani kupić?

– Oczywiście. W dodatku ze zniżką dla młodzieży. I proszę namówić innych, bo warto.

– Jestem tutaj po raz pierwszy.

– Za to na pewno nie ostatni, spodoba się pani, proszę przejrzeć repertuar, z pewnością coś pani dla siebie wybierze.

– Mam na imię Sonia, proszę tak do mnie mówić, uczę się w liceum.

– Świetnie, Soniu, do zobaczenia na koncercie.

Wyszła z teatru rozpogodzona. Poczowała się tam jak w domu, do którego chce się wracać. Nie знаła prywatnych teatrów, więc nie miała porównania. Spodobał jej się klimat, z jednej strony zwyczajny, z drugiej strony tajemniczy, podsycany kotarami, reflektorami, zakamarkami, rzędami krzeseł ustawionych amfiteatralnie. I jeszcze zapach, którego nie potrafiła zdefiniować, mieszanka święta z codziennością, uczyty z pracą, farby akwarelowej z olejną, kawy z mandarynką. Niewiele zobaczyła, ale poczuła, że warto się pokusić o więcej.

Nagle osoba Karola i jego groźba będąca wynikiem zarozumiałości przestały się wydawać straszne. Karol przecież nie tyle chciałby, aby Sonia wróciła, ile był pewien, że ona o niczym innym nie marzy. Gdyby ponownie stali się parą, mógłby ją porzucić z satysfakcją, której wyraźnie mu brakowało z tej racji, że to Sonia pierwsza trzasnęła drzwiami, a nad tym nikt z wygórowanym ego nie przejdzie do porządku

dziennego.

Obiecała Danielowi, że zatelefonuje, i zapomniała, a on się nie przypominał, nie nagabywał, nie próbował zwrócić na siebie uwagi.

– Danielu, przepraszam, to nie dlatego, że zapomniałam – skłamała – ale najpierw musiałam się ukryć, bo zobaczyłam znajomą mamy, a potem pobiegłam do teatru.

– Najważniejsze, że nie zapomniałaś.

– Nie poszłam z tobą na wagary, ale za to możemy pójść do teatru.

– Razem?

– Możemy osobno i tam się spotkamy.

– Tak mi się spodobała twoja propozycja, że nie odpowiadam logicznie. Jestem cały za byciem razem od przystanku autobusowego, przez teatr, a nawet po lody po spektaklu.

– Świetnie, w takim razie kiedyś się umówimy.

– Wołałbym, abyś się już nie rozmyśliła.

– Już to muszę wracać do domu, bo inaczej się wyda, że nie byłam w szkole.

– I tak się wyda.

– Jak to?

– Niestety, tak bywa z wagarami, wcześniej czy później wyłażą z najskrytszych zakamarków.

– E tam, nie będę sobie teraz tym głowy zawracać, wagary były owocne i kulturalne, więc wybaczam sobie. Powiedz jeszcze, co w szkole.

– Klasówka z matmy, ale poszło mi dobrze.

– Odcierpię to, pójdę na najbliższej lekcji na pierwszy rzut.

– Powiem ci, co było, dasz radę.

– A poza tym, co się działo w szkole? Na przerwach, rzecz jasna.

– Na przerwie zadyma, Ewelina opluła Karola i wygląda na to, że ich romans był bardzo krótki.

– Naprawdę opluła czy to tak metaforycznie?

– Metaforycznie, słowami też można pluć. Coś mu tam powiedziała, dziewczyny chichotały, on się uniósł dumą albo wściekłością i wyszedł ze szkoły po długiej przerwie, więc na pewno też wagaruje i kto wie, czy się nie spotkacie.

– Nie spotkamy się, to byłby wyjątkowy przypadek – skłamała znowu. – Poza tym już wracam.

Nagle zrozumiała, dlaczego Karol do niej podszedł w galerii, dlaczego zaproponował spacer. Uciekł z lekcji po kłótni z Ewelina i także przyjechał do centrum miasta, zapewne autobusem, skoro znalazł się w galerii. Mógł wyjść z dworca wprost na deptak, ale mało kto tak robi, większość wychodzi na ulicę przez galerię. Coraz bardziej nie lubiła Karola i żałowała, że spędziła z nim dużo czasu i dała się nabrać na bycie jego dziewczyną.

9. Dwa worki kartofli

Jeszcze do niedawna Sonia nie wiedziała, czym są częste zmiany nastroju. Od niefortunnych wydarzeń, mających swój początek w Krakowie, miotła się pomiędzy radością a wściekłością, pewnością a niewiarą, spokojem a gniewem, dobrocią a złem, podpowiadającym pokrętnie scenariusze i zachowania. Jeśli nawet budziła się w miarę spokojna, to po godzinie miała ochotę płakać, a po dwóch schować się w mysiej dziurze albo ze wstydu, albo z goryczy.

Bywało, że gniew dopadał ją w połowie lekcji, a pod koniec była już tak wściekła, że uratować mogła się tylko nagłą ucieczką. Dla niepoznaki udawała przed Justyną, że coś sobie nagle przypominała i musi biec, by ratować to, co mogło się przez jej gapiostwo zawalić. Kiedy po godzinie Justyna dzwoniła, z troską dopytując, czy zdążyła i czy nic się nie stało, Sonia nie mogła sobie przypomnieć momentu paniki, bagatelizowała więc sprawę i swoje zachowanie, zapewniając, że już wszystko „OK” i „spoko”.

Żałość dorwała ją w kilka minut po rozmowie z Danielem, który nie mógł wiedzieć, jak Sonia skojarzy informacje podane od niechcenia, w odpowiedzi na zwykłe zapytanie o to, co w szkole, i jak dzięki nim odkryła pokrętność zachowania Karola. Najpierw dopadł ją gniew, który przerodził się w rozczarowanie, bo znów przez kilka minut prawie uwierzyła Karolowi w jego życzliwe słowa i intencje.

Autobusem wracała do domu dwadzieścia minut, więc zdążyła ochłonać. Czuła, że gdyby potrafiła podzielić się wątpliwościami i rozczarowaniem z kimś, komu ufa, na przykład z Justyną, odczułaby ulgę. A jednak nie chciała tego zrobić. Mogła dzielić się radościami, śmiesznymi przygodami, problemami szkolnymi, ale nie tym, że chłopak porzuca ją dla innej dziewczyny i że jest nią właśnie Ewelina, której nigdy nie lubiła i od której trzymała się z daleka. Do domu weszła w porze, kiedy zwykle wracała ze szkoły, więc nie powinno to wzbudzić niczyich podejrzeń, a prawdopodobieństwo, że któraś z koleżanek zapytała przypadkowo spotkaną Anielę, dlaczego siostry nie było

w szkole, wydawało się znikome.

W kuchni toczyła się głośna rozmowa i pachniało zupą ogórkową. Aniela stała przy stole i tarła ziemniaki na placki ziemniaczane. Ciocia Rena siedziała na swoim wózku przy drugim końcu stołu, a babcia Nina smakowała zupę, dolewając do niej śmietany. Sonia rozbierała się w przedpokoju, próbując wywnioskować, co jest powodem irytacji siostry.

– O co się tak pieklisz, siostra? – zapytała, podchodząc do kuchenki, by sprawdzić, czy właściwie rozpoznała zapach zupy.

– O buractwo.

– Czyli o co, konkretnie.

– Było tak: poszłam na targ, do pani Leny, po ziemniaki. Przede mną stał facet w fajnej kurtce i też kupował, dwa worki po pięć kilo każdy. Zapłacił, a potem powiedział: „Zaniesie mi pani te worki do samochodu, idę otworzyć bagażnik”.

– I co? – Sonia otworzyła lodówkę i myszkowała za czymś na ząb, ale babcia szepnęła jej, żeby poczekała piętnaście minut, bo zaraz poda zupę.

– Słuchasz mnie czy nie? – Aniela skończyła trzecią ziemniaki i podała miskę babci.

– Przecież słucham.

– No i pani Lena wzięła do każdej ręki worek i zaniósła.

– Może to był staruszek.

– Burak, a nie staruszek. A kiedy pani Lena wróciła, to klientki stojące w kolejce doradzały, co powinna mu powiedzieć.

– I co na to pani Lena?

– Machnęła ręką i powiedziała: „E tam, korona mi z głowy nie spadnie, niektórym się wydaje, że jak baba pracuje w warzywniaku, to można nią podłogę powycierać, a ja sobie nic z tego nie robię, bo zawsze chciałam mieć warzywniak i mam”.

– Pamiętasz, mama opowiadała, że kiedy inne koleżanki w klasie marzyły o królewiczu z bajki, to Lena marzyła o warzywniaku.

– Pamiętam, i w dodatku Lena jest ciągle taką samą kruszynką jak na zdjęciach mamy z liceum, waży nie więcej niż czterdzieści pięć kilogramów.

– To prawda, w takim razie facet próbujący ją poniżyć to nie burak, tylko cham, trzeba rzeczy nazywać po imieniu.

– Najgorsze jest to, że nic mu nie powiedziałam, bo aż mnie zamurowało, za to zapamiętałam sobie jego gębę i samochód.

– I co ci to da?

– Jak go kiedyś spotkam, to mu powiem, co o nim myślę, i już.

– Aniela, nie żartuj, przecież nie będzie pamiętał! Trzeba od razu reagować, a ty masz syndrom klatki schodowej, jak klientki z kolejki.

– Bo temu burakowi, a raczej chamowi, wydaje się, że jak ma drogą kurtkę i wypasiony samochód, to innymi może pomiatać. – Aniela ciągle przeżywała incydent w warzywniaku.

Babcia i ciocia Rena przytakiwały raz jednej, raz drugiej wnuczce, wyraźnie zadowolone, że dziewczynom nie trzeba tłumaczyć oczywistości i że stoją murem za Leną, która nie pozwoliła sobie odebrać poczucia wartości z powodu przypadkowego klienta zachowującego się tak, jakby miał stuprocentową pewność, że tylko manifestacja swojej wyższości zaświadcza o istnieniu. Babcia smażyła placki w milczeniu, wykorzystując ten czas na przypominanie sobie własnych upokorzeń, bez których życie dzisiaj nie miałoby dla niej tak wielu smaków. Ciocia Rena kręciła od czasu do czasu głową, raz z dezaprobatą, raz z zadowoleniem, więc zapewne i ona przywoływała swoje doświadczenia.

Przy obiedzie siostry właściwie nie rozmawiały, co dla babci i ciotki znaczyło, że im smakuje i że były głodne. Zjadły i zupę ogórkową, i placki ziemniaczane z kminkiem. Nie zapytały o deser, choć był przygotowany.

– Jednego tylko nie kumam, do czego facetowi były potrzebne dwa worki. Skoro taki elegancik, to powinien zajadać się zdrowym sushi, a nie kartoflami – Aniela wróciła do tematu po sutym obiedzie.

Babcia parsknęła śmiechem.

– Może to skąpiec, który grosz zaoszczędzony uważa za zarobiony – odezwała się ciocia Rena.

– Nie rozumiem, na jedzeniu ziemniaków można się wzbogacić? Myślałam, że tylko utyc – powiedziała Aniela.

– A wiesz ty, dziecko, że są ludzie gotowi żur widelcem jeść, byle

tylko sąsiadowi pokazać, że stać ich na lepszy samochód?

– Boże, o czym wy gadacie? – zirytowała się Sonia. – Jak długo można międlić chamskie zachowanie nieznanego faceta z targu?

– O kochana, czy nie widzisz, że zgłębiamy problem skąpstwa połączonego z buractwem i że od scenki na targu przechodzimy do rozważań filozoficznych? – Aniela wyraźnie się rozkręcała, bo w domu, jako druga po ojcu, uwielbiała filozofować.

– Filozofujcie sobie beze mnie, idę wkuwać matkę. – Sonia miała już dosyć problemów, które jej nie dotyczyły.

W pokoju na górze położyła się na łóżku i leżała kilkanaście minut bez ruchu. Tak naprawdę to pozazdrościła Lenie warzywniaka, czyli spełnionego marzenia. Bardziej jeszcze tego, że od nastolatki wiedziała, ku czemu dążyć. Czy to możliwe, zastanawiała się, czy proste życie jest szczęśliwsze? Czy trzeba węszyć, motać, podkopywać jeden pod drugim, by realizować marzenia? Co czyni ludzi bogatymi? Czy pieniądze i samochody? A może tylko szlachetna dusza? Gdyby teraz wdała się w rozmowę z Anielą i gdyby dołączył do nich ojciec, mieliby prawdziwie rodzinną debatę o wartościach. Wolała jednak leżeć w samotności. I po cichu obiecywać sobie, że zapłaci Karolowi pięknym za nadobne, jak czasami mawiała babcia.

*

Z katowickiej galerii handlowej wychodziło się wprost na ulicę 3 Maja. Idąc w prawo, dochodziło się do rynku, który po przebudowie w lecie wyglądał całkiem ciekawie, na ławkach i betonowych schodkach przysiadali przechodnie, mający z tego miejsca widok na kilka ulic odchodzących w różnych kierunkach. W zimie nikt się tutaj nie zatrzymywał, kilka osób kręciło się wokół straganów, gdzie sprzedawano wędzonki, sery i różnego rodzaju miody. Inni śpieszyli się w różnych kierunkach, do dworca kolejowego albo autobusowego.

Karol podszedł pod Teatr Śląski. Przyglądał się witrynom reklamującym spektakle teatralne. Dłużej zatrzymał się przed *Skazanym na bluesa*, bo gdzieś słyszał, że to świetny spektakl o Ryśku Riedlu, z nieśmiertelnymi piosenkami Dżemu, które znał dzięki temu, że słuchał ich ojciec. Nie pamiętał, kiedy był ostatnio w teatrze, chyba na początku

gimnazjum, razem z klasą.

Stąd skręcił w ulicę Dyrekcyjną, minął wylot Mariackiej i wszedł do wegetariańskiego baru Złoty Osioł. Jeśli był w centrum, to lubił się tutaj posilać wymyślnymi zapiekankami i surówkami, których w jego domu nikt nie przyrządzał. Ojciec jadł lunch w pracy, mama była na nieustającej diecie, więc odżywiała się kiełkami, suszonymi owocami, a wieczorem zielonymi drinkami. Czasem w niedzielę dom pachniał tradycyjnym obiadem i wówczas chętnie spędzał w nim czas. Na co dzień dostawał pieniądze, by zjadł coś ciepłego w barze obok szkoły albo kupił gotowe danie w Biedronce i je sobie podgrzał w domu. Bywało, że smażył jajecznicę.

Zamówił zapiekankę z ziemniaków, szpinaku i sera. Na osobny talerz nałożył sobie surówkę z marchwi, a także z białej kapusty z czarnuszką. Usiadł przy oknie, by jeść i przyglądać się przechodniom. Samochody przejeżdżały, skręcając w Tylną Mariacką, gdzie było dużo miejsc parkingowych. Co chwilę ktoś wchodził do środka, wpuszczając chłodniejsze powietrze. Za ladą dwie dziewczyny miały co robić. Chłopak w czapce z daszkiem wszedł z psem, usiadł w kącie i nikt mu z tego powodu nie zwrócił uwagi. Karol patrzył na psa, który leżał potulnie, jakby to było jego stałe miejsce.

Nic ostatnio nie układało się po jego myśli. Pechowy wyjazd od Krakowa, potem Ewelina, która wydawała się dziewczyną niestwarzającą zbędnych problemów, czyli taką, o jaką mu chodziło, a jednak, kiedy tylko poczuła, że jest z Karolem blisko, zaczęła stawiać wymagania i warunki. Karol szybko się zorientował, że gdyby chciał im sprostać, musiałby swoje zainteresowania zamienić w nieustającą balangę i codzienne odwiedzanie dyskotek. Lubił się bawić, ale nie przepadał za piwem i ciągłym hałasem. Poza tym Ewelina ani myślała za siebie płacić, co zauważył już podczas pierwszej randki w kinie. Wówczas jeszcze nie wiedział, że umawiała się tylko z chłopakami, którzy spełniają jej zachcianki.

– Może podzielimy się wydatkami – zaproponował, kiedy zamówili w kawiarni dwa soki pomarańczowe wyciskane ze świeżych owoców i dwa tosty z szynką i serem.

– Chyba żartujesz! – oburzyła się. – Coś za coś, kochasiu.

– Nie mów do mnie „kochasiu”.

– OK, Ewelinka potrafi być posłuszna – powiedziała przymilnie, cmokając go w policzek i sprytnie wsuwając rękę pod kurtkę, którą wodziła po plecach, aż Karol poczuł dreszcz.

Zupełnie stracił przy niej przebojowość i pewność siebie. Nie podobało mu się, że Ewelina próbuje go wodzić wedle własnego widzimisię, ale postanowił raz jeszcze zapłacić cały rachunek, a później obmyślić strategię, aby nie pozwolić jej zachowywać się tak, by wprawiała go w zakłopotanie. Mógłby spytać ojca, który na pewno udzieliłby mu dobrej rady, ale i bez tego sytuacja sama się nadarzyła.

– Czy mi się wydaje, czy już nie spotykasz się z rudowłosą pięknoską? – zapytał ojciec.

– Jeszcze się spotykam, ale to już końcówka, bo widzę, że traktuje mnie jak kartę bankomatową.

– Popatrz, a nie wyglądała na taką – zamyślił się ojciec.

– Sonia lubiła też sprawiać wrażenie niewiniątka, a w rzeczywistości to twarda sztuka, tato.

– Od takich trzymaj się z daleka, synku, ty musisz tak podzielać na dziewczyny, by szły za tobą w ogień i by dla ciebie ostatnią kiecę sprzedały.

– Przestań chłopakowi mącić w głowie, jeszcze pomyśli, że i ja taka byłam – mama Karola pośpieszyła ze wsparciem wychowawczym.

– Uczysz go manipulacji, a przecież nie o to w życiu chodzi, prawda? – dodała.

– Kochanie, przecież ja go uczę życia, chodzi o to, by wiedział, że te gierki nie obowiązują, kiedy się spotka miłość swego życia, jak ja ciebie, ale na to ma jeszcze czas i teraz musi wiedzieć, kto ma względem niego uczciwe zamiary, a kto chce go wydudkać.

– To co mam zrobić? – zapytał Karol wprost.

– Postawić sprawę jasno, zagrać jej na ambicji, odwołać się do uczuć, wystawić na próbę.

– Ładnie to brzmi, ale tak konkretnie, to co powinienem powiedzieć?

– Powiedz wprost: „Widzę, że jestem ci potrzebny do płacenia rachunków, czyżbym się mylił?”. I wtedy zobaczysz, jak zareaguje. Jeśli

uniesie się honorem i zapłaci za siebie, to warto się o nią postarać, a jeśli się odwróci, to znaczy, że nie warto na nią nawet patrzeć.

– Spróbuję.

– Jakże spróbuję? Powiedz: zrobię to. Trzeba konkretnie, rzeczowo, nie warto gromadzić wątpliwości ani tracić czasu dla kogoś, kto i tak nie będzie po twojej stronie.

Karol przyznał ojcu rację. Z jednej strony wydawał mu się życiowym cwaniakiem, a z drugiej mędrcom. Z matką tworzyli zgrany tandem, jak o sobie mówili. Nie przejmowali się za bardzo codziennością i dawali synowi dużo przestrzeni, która wynikała z zaufania, co często powtarzali. Karol chciałby mieć tyle pewności siebie co ojciec, ale na razie bardziej udawał tę pewność, niż ją posiadał.

Wkrótce nadarzyła się okazja, by pokazać Ewelinie, że nie jest jej prywatnym bankomatem. Zosia, klasowa skarbniczka, zbierała pieniądze na wspólne wyjście do Muzeum Śląskiego, nowej budowli powstałej w miejscu dawnej kopalni „Katowice”, którego fenomen architektoniczny polegał między innymi na tym, że zbiory znajdowały się w salach umieszczonych pod ziemią.

– Karol za mnie zapłaci – usłyszał, kiedy Zosia podeszła do Eweliny, zabawiającej koleżanki opowieścią o tym, co działo się na dyskotecce w klubie w minioną sobotę.

Zosia udała się więc do Karola, jakby uznała tę sytuację za oczywistość.

– Płacisz podwójnie – powiedziała.

– Dlaczego podwójnie? – zapytał głośno, udając, że nie słyszał tego, co przed chwilą powiedziała Ewelina.

– Tak powiedziała, zresztą ja tam się nie wtrącam, dogadajcie się.

– Płacę za siebie. – Karol podał odliczoną kwotę.

– O co chodzi, kochasiu... to znaczy, kochanie, nie masz przy sobie kasy? – zapytała głośno, by wszyscy słyszeli, i przymilnie oparła się o jego ramię.

– Mam, kochanie, ale nie jestem twoim sponsorem.

– Oj tam, oj tam, zaraz sponsorem, jeśli to dla ciebie problem, to oczywiście zapłacę, ale myślałam, że jesteś dżentelmenem, a ci o pieniądzech nie rozmawiają, w dodatku o tak małych kwotach –

próbowała go zawstydzić.

Karol czuł, że rozmowy w klasie ucichły i wszyscy, nawet ci, którzy nie pasjonowali się tym, że Karol nie spotyka się już z Sonią, tylko z Ewelina, obserwowali, co się dalej wydarzy.

– Szkoda, że nasze sprawy załatwiamy na forum klasy, próbowałem ci to zasugerować już ostatnio, w kawiarni, ale jak widzę, tobie trzeba tak dosłownie, kawę na ławę, bo inaczej nie kumasz – powiedział i aż nie mógł pojąć, skąd się w nim wzięło tyle odwagi.

– Oj, kumam, kumam. – Ewelina zalotnie odwróciła się od niego na pięcie i podeszła do koleżanek w nadziei, że wezmą jej stronę, ale one jakby się zmówiły, bo przyjęły postawę zdystansowaną. – Kumam, świrusie. – Ewelina odwróciła się znów w stronę Karola, z wściekłością, bo poczuła, że jest na przegranej pozycji, przynajmniej w klasie. – Powiem ci wprost, że skoro taka z ciebie kutwa i taki dusigrosz porąbany, to spadaj, ze mną na pewno już nigdzie nie pójdziesz, zapomnij, i jeszcze ci powiem, że taką reklamę ci zrobię, że żadna dziewczyna na ciebie nawet nie spojrzy, nie tylko Sonia.

– Nie nakręcaj się tak, bo się zatrziesz, Ewelinko – powiedział słodko.

Może by ta scena trwała dłużej, gdyby do klasy nie wszedł ksiądz i jak zwykle nie rozpoczął lekcji religii od wspólnej modlitwy. Karol był zadowolony z siebie, choć czuł, że to dopiero początek batalii wytoczonej przez Ewelinę i że robi się o tym głośno, że będzie o to więcej szumu niż z cichym odsunięciem się od Soni. Poczł się niewygodnie, kiedy przypomniał sobie, jak oczernił Sonię przed ojcem. Odegnął to natrętnie powracające echo rozmowy, pocieszając się, że skorzystawszy z rad ojca, znów ma wolne ręce.

Na kolejnej przerwie Ewelina znów próbowała go ośmieszać i wyzywać. Choć czuł, że koledzy są po jego stronie, jakoś nikt nie przyszedł mu z pomocą. Nagle odechciało mu się szkoły, Eweliny, kolegów i klimatów rodem z telenoweli. Wolność od Eweliny dodała mu skrzydeł, więc złapał kurtkę, plecak i wybiegł ze szkoły, skracając sobie lekcje. Od razu wsiadł do nadjeżdżającego autobusu i po krótkim czasie znalazł się w katowickiej galerii.

Gdyby nie sytuacja w szkole, być może nie przysłoby mu do

głowy, aby podejść do Soni, którą tu zobaczył, i która nagle w porównaniu z Ewelina wydała mu się prawdziwie wartościową dziewczyną. Ambicja nie pozwoliła mu jednak na to, by szczerze z nią porozmawiać i powiedzieć, co myśli. Zirytowany sytuacją w szkole, wyrzucił swoją złość i, niestety, znów padło na Sonię, choć intencje miał zgoła inne.

Kiedy wrócił do domu, już w drzwiach poczuł zapach gotowanego obiadu.

– A cóż to za święto? – zapytał od progu.

– Kto powiedział, że święto ma być tylko od święta? Wróciłam dziś wcześniej z pracy, w dodatku po podpisaniu kilku dobrych kontraktów, i poczułam, że mam ochotę zrobić rodzinie domowy obiad, klasyczny, ciężkostrawny, który będzie każdemu smakować: purée, kotlet schabowy i kapustę kiszoną zasmażaną.

– Skąd u nas ziemniaki? Takiego obiadu to już sto lat nie było – Karol żartował, zaglądając do garnków.

– Ziemniaki kupiłam u pani Leny, na targu, kapustę też, a kotlety w sklepiku obok warzywniaka, ot, cała tajemnica.

– Popatrz, tato, jaka mama zadowolona z roli gospodyni domowej.

– Żebyś wiedział, małe rzeczy bardzo cieszą.

– Dużo ziemniaków natargałaś?

– Co ty, tyle co na dziś, tylko dwa kilogramy, ale przede mną był jakiś elegancik, który kupował dwa wory po pięć kilo. W dodatku taki burak, mówię wam, kazał Lenie zanieść te wory do samochodu.

10. Czy pani była ze mną umówiona?

Piątek był zawsze dniem weselszym od innych. Nawet dla tych, którzy lubili swoją pracę i nie wykonywali jej za karę. W domu Soni panowała zasada, by właśnie w piątek zrobić potrzebne zakupy i nie tracić na nie soboty ani niedzieli, by w piątek uprzątnąć mieszkanie, odrobić lekcje, upiec ciasto drożdżowe, a także odwiedzić bibliotekę, oddać książki już przeczytane i wypożyczyć nowe. Był to więc dzień intensywnej pracy, ale wieczór każdy przeznaczal na relaks, różny w zależności od potrzeb, przyzwyczajzeń i fantazji.

Sonia obudziła się czterdzieści minut wcześniej niż zazwyczaj, podlała storczyki stojące na parapecie, wytarła kurze z półek i szafek. Odkurzenie i mycie podłogi zostawiła sobie na popołudnie, kiedy wróci ze szkoły, bo teraz nie chciała budzić domowników. Przygotowała ubranie na wieczorne wyjście do Teatru Bez Sceny, na koncert Artura Gotza. Wypastowała wysokie czarne kozaki, o oparcie krzesła zahaczyła wieszak z krótką, szarą spódniczką i drugi z zielonym sweterkiem z cienkiej angory. Do szkoły ubrała się jak zawsze, w rurki, tym razem czerwone, i w szarą bluzę.

Termometr pokazywał dwa stopnie na plusie, śnieg w ogrodzie topniał, odsłaniając kępy starej trawy, gołe krzewy, gałęzie jabłoni i śliwy. Ulice pod koniec lutego były smutne, a ławki stojące wzdłuż tej, która otaczała pobliskie osiedle, samotne. Psy spacerowały niechętnie i z opuszczonymi ogonami. Tylko biegacze, bez względu na pogodę, wyrabiali swoje normy, zazwyczaj o tej samej godzinie, tą samą trasą i z nieodłącznymi słuchawkami na uszach. Sonia już bardzo chciała być w szkole, bynajmniej nie dlatego, że za nią tęskniła. Miała nadzieję, że lekcje szybko miną i że nie wydarzy się nic, co by przyćmiło jej dobry humor, związany z tym, że wreszcie pozna Artura Gotza.

Pytania miała zapisane w notesie z kolorową okładką. Mały dyktafon pożyczyła od ojca. Mimo że baterie były sprawne, włożyła nowe. Przecwoczyła nagrywanie i odtwarzanie. Nauczyła się także, jak przerzucić nagranie do laptopa i jak je zapisać. Nigdy przedtem nie

nagrywała nic poza własnymi wygłupami, ale teraz pomyślała, że mogłaby na przykład nagrywać lekcję, na której nauczyciel wyjaśnia jakieś trudniejsze zagadnienie. Postanowiła to wypróbować, kiedy będzie miała spokojniejszą głowę.

W szkole już przy drzwiach wpadła na Karola, ale to nie wywarło na niej specjalnego wrażenia. Całkiem spokojnie i bez fochów odpowiedziała na jego „cześć”. Justyna wyczuła, że Sonia jest na luzie, co rzadko jej się ostatnio zdarzało.

– Coś ty dzisiaj taka luzara? – zapytała, kiedy tylko usiadły obok siebie.

– Po pierwsze, piątek, po drugie, wieczorem koncert, a po trzecie, już mam dosyć tego napinania się jak guma w ruskich gaciach.

– Ha, ha, masz rację, nasza sąsiadka powiedziała mi dziś: „Wczoraj to historia, jutro to zagadka, dzisiaj to dar losu, a dary są po to, żeby się nimi cieszyć”.

– Hej, Makowe Panienki, co was tak cieszy, że nawet nie zauważyłyście mojej obecności w klasie? – zapytał nauczyciel biologii.

– Piątek, panie profesorze – radośnie zapiszczała Justyna.

– W piątek zły początek.

– Nieprawda. Piątek jest lepszy niż pizza i... coca-cola z... rumem, he, he – Justyna rozbawiła się na całego.

– W piątek od rana uśmiech jak banan – w sukurs przyszedł jej Daniel.

– Hola, hola, kto w piątek skacze, ten w niedzielę płacze – nauczyciel trzymał się swego.

– A mnie się śniło dzisiaj, czyli w piątek, że jest niedziela – odezwała się zazwyczaj milcząca Zosia.

– To ty masz koszmary – podsumował Daniel i klasa gruchnęła śmiechem.

– Fizjologia wydalania w organizmie człowieka. Znaczenie diagnostyczne moczu, zapisujemy temat lekcji – nauczyciel zmienił barwę głosu na surową.

– A tak było miło – szepnęła zawiedziona Justyna.

*

W piątek mieli tylko pięć lekcji, więc minęły szybko i bezboleśnie. Sonia widziała, że Daniel obserwuje ją kątem oka, ale specjalnie nie odwzajemniała spojrzeń. Dogonił ją przy wyjściu.

– Czy on ci się podoba? – zapytał.

– Kto? – prawie krzyknęła.

– Artur. Artur Gotz.

– Skąd mogę wiedzieć? – Roześmiała się. – Przecież go na oczy nie widziałam.

– Widziałas w teledysku.

– No tak, ale nie na żywo, nie na scenie. Podziwiam go i jestem bardzo ciekawa, jak zabrzmiał na scenie, wtedy ci powiem, czy mi się podoba.

– Wolałbym, abyś go podziwiała bez podobań.

– Czy to w ogóle możliwe?

– Na tym właśnie polega mój problem, bo wydaje mi się niemożliwe.

Przez chwilę Sonia miała ochotę pogłaskać Daniela. Zdziwiła się, bo ochota była związana z nagłym przyływem czułości, co jej się czasem zdarzało w stosunku do siostry, nawet do Justyny, ale nigdy do kolegi. Ciekawe, że taką czułością nigdy nie obdarzyła Karola, który miał w sobie czar, nawet magię. Bywała przy nim podekscytowana, co tuszowała gadatliwością, ale nigdy nie miała potrzeby zamilknąć, by popatrzeć na niego z czułą dobrocią. Nie rozumiała swoich reakcji. Gdyby potrafiła o tym mówić, mogłaby bardziej siebie poznać.

– Zupełnie nie wiem, co mam o sobie myśleć – powiedziała ni z gruszki, ni z pietruszki, choć pośrednio była to odpowiedź na wątpliwość Daniela.

– W jakim sensie? – zainteresował się Daniel.

– Czuję się tak, jakbym stała na rozstaju dróg, w pustym polu i nie miała zielonego pojęcia, w którym pójść kierunku, aby dojść do celu.

– A wiesz przynajmniej, co jest celem?

– Tego też nie wiem, to znaczy czasem mi się wydaje, że wiem, ale w chwilę potem okazuje się, że to nie to, i znów czarna dziura, nawet dróg nie widzę ani pól wokół.

– I wiesz, co wówczas czujesz?

– Lęk, złość, wściekłość, ból, żal, zagubienie, taki wybuchowy koktajl, który wybuchnąć nie potrafi.

– Nie potrafi czy nie chce?

– Nie wiem, nawet nie umiem spróbować.

– Jeśli czujesz złość, to kogo wówczas widzisz?

– Widzę... nie, to bez sensu, nie będę mówić, kogo widzę, bo i tak na końcu najbardziej zła jestem na siebie. Daniel, przepraszam, zawracam ci głowę, a ty się dajesz w to wciągać, jakbyś był terapeutą.

– Chciałbym, abyś mnie wciągała, ale wolałbym siedzieć wówczas na kanapie albo na dywanie, w bezpiecznym i cichym miejscu, a nie stać na rogu ulicy.

– Wiesz co, kiedyś sobie tak usiądziemy i popłaczemy.

– To już trzecia obietnica.

– Moja?

– Przecież nie ufoludka.

– Nie przypominam sobie dwóch poprzednich.

– Pierwsza, że pójdziemy razem do teatru, druga, że usiądziemy, trzecia, że popłaczemy. Odrzucam trzecią. Wolę się pośmiać.

– Może się uda.

– Nie dodałaś, że kiedyś.

– Jesteś dla mnie dobrym kolegą – powiedziała i cmoknęła go w policzek.

Szybko przeszła na drugą stronę, by następnie skręcić w boczną uliczkę i ruszyć do domu. Kiedy była już przy furtce, odwróciła się. Daniel stał dalej w tym samym miejscu. Zawstydziała się swojej chwili słabości, gadulstwa i tego, że wprawiła Daniela w zakłopotanie. Postanowiła już nic nie naprawiać i na wszelki wypadek nie odebrać od Daniela telefonu, gdyby dzwonił. Ale nie dzwonił. Kilka razy zerkała w ekran, sprawdziła także fejsa, ale Daniel nie szukał kontaktu. Trochę jej było dziwnie, ale jeden niepokój zastąpiła następnym, tym związanym z wyjściem na koncert.

Przyjechała do centrum miasta na godzinę przed początkiem koncertu. Trochę pospacerowała po uliczkach wokół dworca, bo nie był to czas na spacer. Wiał wiatr, ulice były ponure mimo neonów i rozświetlonych wystaw sklepowych. Poszła więc w kierunku teatru

z nadzieją, że pół godziny przed koncertem będzie już można zająć miejsce na widowni, gdzie krzesła nie miały numerów.

Pani Ewa witała widzów ubrana w ciemnoszarą wąską tunikę. Z szyi zwisał jej srebrny medalion na takimże łańcuszku. Pobrzękiwała bransoletkami. Uśmiechała się do każdego, widocznie taki miała radosny sposób bycia. Do Soni też się uśmiechnęła.

– Już się poznałyśmy, prawda? – Spojrzała tak, jakby chciała sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach to mogło nastąpić.

– Tak, kupowałam u pani bilet, Sonia.

– Pamiętam, piękne masz imię i bardzo pasujące do twojej łagodności.

– Dziękuję – Sonia odpowiedziała skromnie, choć zdziwiła ją ta łagodność i gdyby nie kolejni widzowie, którzy właśnie stanęli w drzwiach, może by zapytała, skąd takie wrażenie.

Pani Ewa wskazała jej szatnię i witała się z kolejnymi gośćmi.

Szatnia mieściła się we wnęce, Sonia powiesiła kurtkę na wieszaku siedemnastym i schowała numer do kieszeni w spódnicy, aby potem nie szukać w małej torebce, którą przewiesiła na ukos, przez ramię, wyciągnąwszy przedtem notes i długopis. Zajęła miejsce w pierwszym rzędzie, w głębi sali, z daleka od wejścia. Na środku sceny stał mikrofon. Za nim wisiał duży ekran, od strony wejścia umieszczony był instrument klawiszowy, obok ustawiono instrumenty perkusyjne.

Sala wypełniała się młodzieżą, w większości studencką. Może to byli stali bywalcy teatru, może grupa przyjaciół, bo coś sobie opowiadali, reagując śmiechem, także gestem, który bez znajomości grupowych kodów nie powodował rozbawienia. Zbliżała się godzina osiemnasta, wszystkie miejsca były zajęte. Pani Ewa dostawiała po bokach krzesła dla tych, którzy pojawili się w ostatniej chwili. Teatr był ciągle w budowie, więc drzwi do sali teatralnej były imitowane przez czarne kotary, które zasłonięto i wówczas przed widownią stanął Andrzej Dopierała, gospodarz teatru.

– Dobry wieczór – powiedział ciepłym głosem, wodząc oczami po sali.

– Jak to miło zobaczyć, że każde krzesło jest zajęte i że kilka dodatkowych dostawiliśmy. Proszę państwa, nie ma nic miłszego dla

dyrektora teatru niż widok zapełnionej widowni. Ba! Nawet nadkompletu, jak mawiała wielka artystka polskiej sceny, Nina Andrycz, którą zapewne niektórzy z państwa jako wielbicielie teatru pamiętają. Teatr bez widowni nie istnieje, dlatego cieszymy się, że jesteście państwo z nami i że będziemy mogli wspólnie przeżyć wieczór z aktorem i wokalistą, który po trasie koncertowej w Los Angeles, Las Vegas, New Jersey, San Diego, Bostonie, Seattle, Portland, Orange i Anaheim, zawitał wreszcie do nas. Przed państwem Artur Gotz.

Rozległy się brawa i na scenę, w smugę światła, wszedł bohater wieczoru. Soni wydał się kolegą z klasy, szczupłym, wysokim, jasnowłosym chłopcem z grzywką spadającą na czoło. Ubrany był w czerwone rurki i czarną, zapinaną koszulę z nadrukiem, a z szyi luźno zwisał żółty krawat.

– Nazywam się Gotz. Artur Gotz – powiedział, uśmiechając się konspiracyjnie.

Sala zareagowała śmiechem, bo nie było nikogo, kto by nie wyłapał aluzji do agenta Bonda, rozślawionego filmami z szaloną akcją i pięknymi kobietami.

– Do niedawna byłem „obiektem seksualnym”, a teraz jestem „mężczyzną prawie idealnym”, a także zniewolonym narzeczonym. Jakkolwiek ponuro to brzmi, proszę pamiętać, że to tylko jedna z moich ról. Każdego, kto ciekaw, jakie role odegrali w najnowszym teledysku *Obecny narzeczony* aktorzy scen śląskich, warszawskich, łódzkich i krakowskich, i kto ciekaw, jak ja wypadłem, zapraszam do obejrzenia. A teraz, proszę państwa, porozmawiajmy o mężczyznach.

Już po pierwszej piosence widownia bawiła się świetnie, a z każdą kolejną było coraz ciekawiej, i śmiesznie, i sentymentalnie, i kabaretowo. Aktor wcielał się w postaci i charaktery pasujące do skomplikowanych związków damsko-męskich i pokrętej filozofii codzienności. Dykcję miał nienaganną, głos silny o barwie głębokiej i pluszowej zarazem.

Sonia nie mogła oderwać od niego oczu. Po raz pierwszy zobaczyła, że z piosenek można zrobić najprawdziwszy teatr. Z każdą kolejną nabierała pewności, że Artur powinien wygrywać wszystkie programy typu *Idol*. Z jednej strony żałowała, że przyszła na koncert

sama i przez to trudniej będzie się dzielić fascynacją, a z drugiej strony radowała się, że ma coś wspaniałego tylko dla siebie. W przyływie wspaniałomyślności zdecydowała, że kupi rodzicom bilety na koncert, bo czuła, że ich takie śpiewanie też zachwyci. Poza tym niech wiedzą, jak ich córka się kulturalnie zabawia.

Koncert się skończył, aktor przedstawił z imienia i nazwiska muzyków: pianistę, perkusistę i gitarzystę basowego. Sonia nie czuła, kiedy minęło prawie półtorej godziny. Po bisach z błęgiego nastroju popadła w totalne onieśmienie. I choć w myślach nazywała aktora Arturem, teraz była pewna, że nigdy nie odważy się tak do niego zwrócić. Stawał się dla niej kimś niedoścignionym, kogo można uwielbiać z daleka. Pytania zapisane w notesie wydały jej się banalne. Poza tym nie była pewna, czy się nie wygłupi, kiedy będzie je zadawać drżącym głosem. A co jeśli i ręce jej zadrżą?

Widzowie opuszczali salę, komentując występ. Starsi powtarzali w kółko: „Taki młody, taki zdolny, taki utalentowany, taki mądry, taki kulturalny, a jaki ładny, jaki przystojny, jaki uprzejmy, a jaki głos ma silny jak dzwon, a jakie miny wyczyniał, a spojrzenie jakie miał przenikliwe, jak Kaszpirowski, całkiem jak on, aż dreszcze przechodziły, aż coś po plecach biegało i nawet za gardło chwyciło”.

Sonia nie wiedziała, kim był Kaszpirowski. Czuła, że to ktoś z pokolenia rodziców albo babci, może śpiewak operowy, może piosenkarz, którego wspomina tylko pokolenie świetnie pamiętające przeszłość i mające problem ze znalezieniem okularów odłożonych przed chwilą, których nigdzie nie ma, jak w wierszu o panu Hilarym, który znała na pamięć. Zapisała nazwisko Kaszpirowskiego w notesie, by zapytać w domu albo sprawdzić w Internecie.

W pomieszczeniu pełniącym funkcję foyer pani Ewa sprzedawała płyty Artura, a także koszulki z napisem „Mężczyzna prawie idealny”. Przy stoliku przygotowanym dla aktora ustawiała się kolejka. Sonia nie miała przy sobie pieniędzy, by kupić płytę. Pożałowała, że zostawiła portfel w domu, a do torebki spakowała tylko bilet na koncert, legitymację szkolną, dziesięć złotych w banknocie, chusteczki higieniczne, notes, długopis i dyktafon. Nie była zbieraczką autografów ani bywalczynią spotkań autorskich, nie przyszło jej więc do głowy, że

nadarzy się taka okazja. Stała z boku, miała zamiar przeczekać, aż fani Artura uzyskają autograf, i dopiero wówczas podejść. Z rozmyślań wyrwały ją brawa i dziwnie znajomy pisk.

Aktor pojawił się we foyer i usiadł przy stoliku. Błyskawicznie został otoczony wiankiem kobiet w różnym wieku. Wśród nich Sonia dostrzegła znajomą sylwetkę i poczuła, jak obezwładnia ją fala złości. Ewelina przepychała się do stolika, co nie było łatwe, bo każda z kobiet chciała być pierwsza i dodatkowo koniecznie zrobić sobie z Arturem fotkę, najczęściej telefonem. Sonia od razu wywietrzyła spisek i nabrała pewności, że Ewelina przyszła na koncert specjalnie, by jej dokuczyć, bo przecież piosenką aktorską na pewno się nie interesowała, wszystkim było wiadomo, że preferowała ciężkie granie.

Nie mogła pojąć, jak to się stało, że nie zauważyła Eweliny na sali, przecież ze swojego miejsca miała dobry punkt obserwacyjny i bezpośredni widok na drzwi z kotary. Możliwe, że Ewelina przyszła do teatru po koncercie, tylko dla zrobienia fotki z aktorem. W klasie nie było tajemnicą, że Sonia przymierza się do wywiadu, mało tego, że słucha dwóch nagranych przez aktora teledysków i że linki do nich podsyła każdemu, kto wykazuje choćby nikłe zainteresowanie. Czarne włosy Eweliny sterczały ponad innymi głowami, widać było, że nie żałowała pianki czy żelu, by zrobić stylizację w stylu Lisbeth z *Millenium*.

Przez chwilę Sonia chciała dopchać się do Artura przed Eweliną, ale zrezygnowała, bo wolała mieć więcej czasu na rozmowę. Co gorsza, Ewelina też przystopowała, jakby kątem oka obserwowała zachowanie Soni. Nie odwracała się, a jednak na pewno widziała, co Sonia robi. Część kobiet odeszła z upolowanym autografem i fotką, zrobiło się luźniej. Pani Ewa otworzyła drzwi na zewnątrz, by przewietrzyć foyer. Sonia podeszła do niej.

– Jak dobrze, trochę świeżego powietrza – powiedziała.

– Świeżego jak świeżego, ale na pewno chłodnego. – Roześmiała się Ewa, która miała w sobie nieustającą pogodę.

– Podejdę na samym końcu – wyjaśniła. – Jestem umówiona – dodała z dumą.

– O... szczęściara – szepnęła Ewa.

– Służbowo, na wywiad do gazetki szkolnej – dodała, jakby nagle wystraszyła się, że spotkanie prywatne z Arturem także byłoby możliwe.
– Czy zrobi mi pani fotkę, kiedy będę rozmawiała? – zapytała, pokazując telefon.

– No pewnie, dziś bez fotki ani rusz.

– Dzięki, zgłoszę się po telefon przy wyjściu.

Sonia zauważyła, że Ewelina już dochodzi do stolika Artura, przeprosiła więc Ewę i też podeszła zdecydowanym krokiem. Ewelina udawała, że w ogóle jej nie dostrzega.

– Cześć, byłeś super, co ja mówię, byłeś mega i w ogóle, rewela, megarewela – Ewelina mówiła nieskładnie, międlila słowa, jakby żuła gumę, uśmiechała się przy tym zadziornie i nawet wyzywająco.

Aktor odsunął trochę krzesło, jakby poczuł się zagrożony, i dość oficjalnym głosem zapytał:

– Czy to pani była ze mną umówiona?

– Jaka pani, jaka pani? – Roześmiała się. – Ewelina albo lepiej Evita, nie byłam umówiona, ale chętnie się umówię, choćby zaraz, bo mam dla ciebie mnóstwo czasu – tym razem powiedziała wyraźnie i łypnęła na Sonię.

– Pytam, czy pani jest licealistką, która umówiła się ze mną na rozmowę do gazetki – uściślił już bardzo chłodnym tonem, podkreślając słowo „pani”, i za nic sobie mając nachalność Eweliny.

– To ja jestem z panem umówiona – powiedziała Sonia, odpowiednio wykorzystując zaistniałą sytuację.

Ewelina spojrzała na Sonię z lekceważeniem i prychnęła pogardliwie.

– Też mi rozmowa, do gazetki szkolnej – mruknęła.

– Od czegoś trzeba zacząć, proszę pani – powiedział Artur, omijając Ewelinę i patrząc na Sonię jak na wybawienie. – Sonia? Dobrze pamiętam? – A gdy skinęła głową, dodał: – Miło cię widzieć, Soniu. – Artur wstał i się przywitał. – Jakież ty masz energetyzująco miedziane włosy i jaka długość. – Dotknął kosmyka, jakby nie dowierzał, że są prawdziwe.

– Po babci ze strony ojca – wyjaśniła, rumieniąc się.

Ewelina wyszła z takim impetem, że aż pani Ewa zareagowała na

trzaśnięcie drzwiami. Sonia odetchnęła z ulgą. Pomyślała, że Artur świetnie sobie poradził z podrywem Eweliny vel Evity. Postawił na stworzenie dystansu, nie zabawił się w wymyślanie celnych ripost. Zapewne miał w tym względzie doświadczenia z niejedną fanką.

– Jak dobrze, że ona to nie ty, i jak dobrze, że sobie poszła. – Artur odetchnął i oboje od razu poczuli się raźniej.

– Czy ma pan dzisiaj dla mnie czas? A może jest pan zmęczony? – Sonia nieśmiało przypomniała o swoim zadaniu.

– Zmęczony trochę, zakręcony bardzo, czasu nie mam, przepraszam, ale... obiecuję, że kiedy za tydzień znów tutaj będę, już prywatnie, u babci, to się spotkamy na spokojnie, dobrze?

Do domu wracała jak w transie. Siedziała skupiona, z zamkniętymi oczami, aby rzeczywistość autobusowa nie zakłócała scen z koncertu, które szybko, jak w teledysku, przemykały jej przez głowę, w różnych konfiguracjach: raz roześmiana twarz Artura, raz zdziwiona, żółty krawat, czerwone trampki, spodnie, rozpięta koszula, wypracowane w szczegółach gesty. Słyszała pojedyncze frazy z piosenek, które powtarzała jak mantrę. Nawet w najśmielszych marzeniach nie liczyła na lepszą końcówkę dnia. Była dziko zadowolona i to co najmniej z dwóch powodów.

W domu rodzina czekała w komplecie, popijając herbatę. Nawet Aniela siedziała razem z rodzicami i babciami, choć o tej porze zazwyczaj wtulała się w pluszowego misia, który zajmował pół jej łóżka.

– Co tak długo, już się martwiliśmy, tata chciał dzwonić, ale powiedziałam, by dał ci szansę na dorosłość. – Aniela była zadowolona z negocjacji i liczyła na pochwałę ze strony siostry.

– Jak było? Opowiadaj.

– Po prostu odłot, on jest genialny i w ogóle, nie mam słów.

– Zbyt wiele się nie dowiedzieliśmy – podsumował ojciec.

– Tato, bo to trzeba zobaczyć. Sam byłbyś ugotowany na miękko.

– Bez przesady, bez przesady, w moim wieku jestem już łykowaty, więc nie tak szybko się gotuję.

– Czy on jest ładny? – Aniela zamrugła oczami.

– Mężczyzna nie musi być ładny – wtrąciła babcia. – Natomiast przystojność jest wskazana.

– Jaka to różnica? – dociekała Aniela.

– Pytasz jak bobowit – odparowała siostra.

– W takim razie wytłumacz, jak jesteś taka mądra.

– Ładna to może być twoja lalka, a nie taki facet jak on. Bo on ma postawę, jest wysportowany, i głos taki ma, że dech zapiera.

– Czyli wzrost słuszny – odezwała się ciocia Rena.

– I głos anioła – ucieszyła się siostra.

– Ludzie, dajcie spokój, nie rozbierajcie go na części pierwsze, bo Artur jest zjawiskiem, rozumiecie? Zjawiskiem!

– No to koniec! – Zasmuciła się mama.

– Jaki koniec? To dopiero początek! On już jest moim idolem.

– Gorzej być nie mogło. – Tata stanął po stronie żony.

– Matko Boska, pomóż mi – Sonia zirytowała się nie na żarty.

– Nie wzywaj imienia Paniienki nadaremno – babcia skarciła wnuczkę.

– Co to jest, sąd nade mną? Żadnego wsparcia od rodziny?

Wolelibyście, abym uwielbiała discopolowca lub heavymetalowca?
Nigdy wam dogodzić nie można.

– Siostra, nie wściekaj się, bo się spienisz.

– Zawsze zrobicie wszystko, by mi humor zepsuć, ale ja się nie dam.

– I słusznie, odkryła dziewczyna fascynację, to dobrze. – Babcia stanęła po stronie wnuczki.

– Babcia czym starsza, tym nowocześniejsza, dla mojej wspaniałej żony mama taka łaskawa nie była. – Ojciec Soni wkroczył nie niebezpieczną ścieżkę, czym mógł narazić się teściowej.

– Agata była wychowywana w innych czasach, a teraz są jeszcze inne i trzeba się do nich dostosować, Ryszardzie.

– Ooo, jak babcia mówi do taty Ryszardzie, a nie Rysiu, to znaczy, że pora kończyć dyskusję, chyba nie o to chodzi, by się na wieczór rozindyczyć. Dziewczyny na górę, do spania – zarządziła mama.

– Przynajmniej powiedz, czy jesteś zadowolona z nagranej rozmowy – ojciec próbował zakończyć wieczór pojednawczo.

– Niczego nie nagrałam, Artur nie miał czasu, ale obiecał, że spotkamy się za tydzień.

Rodzina uciszyła się, jakby dano jej znak magiczną różdżką. Sonia wycofała się dyplomatycznie na górę, do swojego pokoju, w obawie przed kolejnymi dociekaniem. Wiedziała, że taka cisza nic dobrego nie oznacza i że gdy tylko uda się na górę, rodzice dopiero zaczną debatować. Czuła, że od teraz będzie obserwowana w dwójnasób i nie uniknie totalnej inwigilacji, co często im zarzucała, choć nie miała jeszcze ku temu powodów. Spinała się wewnętrznie, aby w każdej chwili celnie odeprzeć atak. Nikt jednak nie zapukał do jej pokoju, by na gorąco walczyć ewentualne zagrożenia. Było jej to na rękę, bo mogła spokojnie i od nowa przeżywać każde słowo wypowiedziane podczas krótkiej rozmowy z Arturem.

Poczuła się dowartościowana z wielu powodów. Artur pamiętał jej imię, zwrócił uwagę na włosy, przywitał się, obiecał, że spotkają się za tydzień. Dopiero teraz, leżąc już w łóżku, dokładnie przeglądała fotki w telefonie, które zrobiła pani Ewa. Bardzo jej się spodobała uchwycona chwila, kiedy stoją na wprost siebie, Sonia patrzy na Artura

w zdziwieniu, a on dotyka kosmyków jej włosów. Kiedy patrzyła po raz któryś, była pewna, że mu się spodobała.

Podrasowała fotkę w programie graficznym, podpisała: „Taka chwila po koncercie «Mężczyzny prawie idealnego»”. Dodała też drugą, na której widać Ewelinę stojącą z boku. Artur patrzy na Sonię, a Ewelina ma zaciśnięte i wykrzywione usta. Podpis: „Nie każdemu szczęście sprzyja”. Obie fotki zamieściła na Facebooku. Nie oznaczyła na fotce Eweliny, ale była pewna, że ona i tak to zobaczy. Nawet jeśli nie zajrzy na profil, to ktoś jej słówko podpowie albo zaciekawi odpowiednim komentarzem.

Będą zazdrościć, pomyślała. Właściwie to chodziło jej tylko o zazdrość i wściekłość Eweliny. Była pewna, że spotkała ją zasłużona kara za to, że odbiła jej Karola. On też był nie lepszy, ale patrzyła na niego łagodniej, może dlatego, że próbował konflikt załagodzić. Nie potrafiła albo i nie chciała przestać myśleć o swojej krzywdzie i choć już trochę czasu minęło, nie odpuszczała, a wręcz przeciwnie, hodowała w sobie złą energię, karmiła się nią i poila, aby starczyło na jak najdłużej.

Już chciała zgasić światło, kiedy usłyszała dźwięk przychodzącego SMS-a. Justyna napisała: „Śpisz?”. Sonia, zamiast odpisywać, zadzwoniła.

- Jak było? – Justyna zapytała konspiracyjnym szeptem.
- Och, on jest cudny i mogłabym na niego patrzeć od rana do wieczora – westchnęła Sonia.
- E tam, bardziej mnie ciekawi Ewelina, skąd ona się tam wzięła?
- Dobre pytanie. Widocznie chciała mi zagrać na nerwach.
- I co?
- Jak widzisz na zdjęciu, to ja jej zagrałam, a właściwie Artur. Pożałowałam, że ciebie tam nie było, bo na pewno byś nagrała tę scenkę i wtedy byłby to hit na YouTube.
- Na razie jest hit na fejsie, zobacz, już pół klasy cię zalajkowało.
- Ciekawe, czy Ewelina to widziała?
- Na pewno, teraz gryzie ze złości czarne pazury i obmyśla zemstę.
- Już się zemściła, obnosząc się z Karolem, teraz moja kolej.
- Opuść sobie Ewelinę, zajmij się raczej Arturem.

- Masz rację, za tydzień się z nim spotkam.
- Mówicie sobie po imieniu?
- On tak, ja nie, nie mam odwagi, a poza tym mi nie proponował.
- I co z tego, Soniu, to ty jesteś kobietą.
- Niby tak, ale on jest prawie dwa razy starszy, a poza tym jest kimś, odnosi sukcesy, a przede mną szkoła, matura.
- Powiedz, że nie chcesz, aby się w tobie zakochał.
- Justyna, weź się stuknij w łepetynę, on jest moim idolem, idole mają lasek do wyboru, do koloru, poza tym w głowie im tylko sukces i raz jeszcze sukces, bo chodzi o to, aby nie trwał pięć minut, tylko gruntował pozycję, wyznaczał kierunki, kumasz to wszystko?
- Nie kumam. To dla mnie zbyt skomplikowane.
- Justyna, nareszcie mam idola, mam idola!
- Tylko po co ci ten idol?
- Jak to po co? Mogę go podziwiać, naśladować, uczyć się od niego, kierować jego zasadami.
- Sorki, ale całkiem ci odbiło, przecież nie umiesz śpiewać, więc w czym go będziesz naśladować?
- I co z tego, że nie umiem, mogę naśladować wartości, dzięki którym odniósł sukces.
- Wiesz co, wyśpij się, to pogadamy, bo papłasz, jakbyś swoich zasad nie miała.
- Przykro mi, że ze mną nie trzymasz!
- Trzymam, trzymam, tylko jak bredzisz, to słuchać nie mogę.
- Justyna, może ty nie potrzebujesz życiowych wskazówek, bo gadasz, jakbyś wszystkie rozумы zjadła, ale ja potrzebuję autorytetu i koniec.
- Aha, i ten idol będzie twoim autorytetem.
- Żebyś wiedziała. Widzę, że wolałabyś mi podsunąć pod nos jakiego świętego.
- Jak ci przejdzie, to daj znać, teraz już nie będę ci kołków ciosać na głowie, bo wiadomo, że na zakochanie nie ma rady.
- Nic nie rozumiesz, nie jestem zakochana, chcę tylko być blisko kogoś, kto wiele znaczy, bo muszę im... muszę im...
- Co musisz i komu?

– Nieważne, ale zobaczysz, Justyna, zobaczysz, i wtedy mnie zrozumiesz. Bo nikt mnie nie rozumie, ani Karol, ani rodzice, ani nawet ty... – Głos Soni zadrżał, jakby miała się rozplakać.

– Tylko nie becz, pogadamy, jak się spotkamy. Trzymaj się.

– Pa. – Sonia pożegnała się cichutko, czując, że ta rozmowa będzie w niej zgrzytać i nie pozwoli szybko zasnąć.

*

Zaschło jej w gardle. Butelka z wodą mineralną stała pusta. W domu było już cicho. Sonia powoli nacisnęła klamkę, by nie zazgrzytało. Boso zeszła na dół, do kuchni. Otworzyła lodówkę i poczuła, że jest głodna. Nie jadła kolacji, ale teraz było za późno, by bawić się w robienie kanapki. Zjadła plasterek szynki, żółtego sera i dwie oliwki. Butelkę wody zabrała do pokoju. Udało jej się nikogo nie obudzić, nawet babci, która zazwyczaj spała czujnie. Wypiła łączywie całą wodę i poczuła się syta.

Spojrzała raz jeszcze na fotkę, gdzie Artur trzyma w palcach kosmyk jej miedzianych włosów. Postanowiła, że jutro wydrukuje zdjęcie na kolorowej drukarce, oprawi w ramki i powiesi nad łóżkiem. Zupełnie nie mogła pojąć przemądrzania się Justyny. Może rok, a może dwa temu Justyna wypisywała czułe słówka na fanpage'u zespołu, o którym wówczas było głośno, a o którym dzisiaj mało kto pamięta. Fotkami gitarzystów i wokalisty obklejała zeszyty. Nawet nosiła koszulkę z nazwą zespołu, którą specjalnie wydrukowała. Teraz nie mówi o nich, nie słucha ich płyty i gdyby ją zapytać dlaczego, na pewno by powiedziała, że było i minęło.

U Soni dopiero się zaczęło.

Niech więc trwa. Na zawsze.

I żeby ślad po tym pozostał na zawsze.

Tylko jak to zrobić, zastanawiała się, zasypiając.

Nie zajrzała już na fejsa.

I dobrze, bo zapewne tej nocy by nie zasnęła.

Sonia nie mogła się rano dobudzić. Wyszła z domu na ostatnią chwilę i do szkoły wpadła równo z dzwonkiem. Nie zdążyła zajrzeć na Facebooka, więc nie знаła komentarzy. Kiedy weszła do klasy, od razu zauważyła zatroskane twarze Justyny, Daniela, a także Zosi i ciekawskie pozostałych. Nie zdążyła zapytać, czemu się gapią, bo nauczycielka weszła do klasy. Justyna wierciła się nerwowo w ławce. Próbowła zagadnąć, ale matematyczka miała słuch wyjątkowo czujny i usłyszała szept.

– Widzę, że przeszkadzam Justynie, ale jest na to rada, proszę do tablicy – powiedziała surowym tonem.

– To nie Justyna, pani profesor, to ja zapytałam, czemu ona się tak wierci, a Justyna nawet nie zdążyła mi odpowiedzieć. – Sonia przysła Justynie na ratunek.

– W takim razie proszę do tablicy Sonię.

– To moja wina – powiedziała Justyna.

– Nie będziecie się licytować, bo szkoda czasu – nauczycielka przyglądała się bacznie koleżankom. – Jeśli Sonia sobie nie poradzi, ty jej pomożesz, dobrze?

Wszyscy w klasie wiedzieli, że z matematyczką nie ma żartów i że wystarczy szmer, by od razu wylądować przy tablicy, a wówczas szanse na wyjście z dobrą oceną są marne.

– Zadanie z liczbami rzeczywistymi ma? – zapytała nauczycielka, nie patrząc na Sonię.

– Nie ma.

– Jak to nie ma?

– Legwan mi zjadł.

Klasa parsknęła śmiechem, który przewyciężył strach przed wezwaniem do tablicy. Zdziwiona mina matematyczki tym bardziej nie pozwalała im się wyciszyć. Czego jak czego, ale takich żartów na matematyce jeszcze nie było.

– Jaki legwan? – Nauczycielka zsunęła okulary na czubek nosa

i spojrzała na Sonię surowo.

– Zielony, pani profesor. To jaszczurka, która ma prawie półtora metra długości. Jest roślinożerna, co nie przeszkadzało jej zjeść mojego zadania domowego, może wyczuła, że to papier robiony z rośliny, może jej zapachniało brazylijską puszcza – wyjaśniła spokojnie, z kamienną powagą.

Sonia nie miała pojęcia, skąd się w niej wzięła odwaga do żartów. Na matematyce zawsze siedziała cicho jak przysłowiowa mysz pod miotłą, byle tylko nie została zauważona. Zadania nie miała, bo ostatnio nie w głowie jej była matematyka. Nauczycielka znieruchomiała, jakby zastanawiała się, czy dalej słuchać tych bredni, czy od razu postawić właściwą ocenę i odesłać na miejsce tę do tej pory spokojną uczennicę.

– Wracając do tematu, czyli do liczb rzeczywistych, to powiem szczerze, że bardzo ich nie lubię i wolę liczby urojone, a także ludolfinę, jeśli pani profesor pozwoli, to podzielę się wiedzą – Sonia brnęła dalej, bo już nic nie miała do stracenia.

Po tej wypowiedzi klasa całkowicie się uciszyła. Wszyscy trwali w napięciu, by nie pominąć żadnego słowa ani gestu z teatru, który się przed nimi rozgrywał.

– Urojonych nie ma w programie, więc pozwól, że wrócimy do rzeczywistości, która tym się różni od urojeń, że pamięta, gdzie jest miejsce nauczyciela, a gdzie ucznia.

– Tak, tak, ma pani rację, trochę się zagalopowałam, bo ostatnio więcej bywam w teatrze niż w szkole i po prostu teraz mi się wydawało, że moje życie to odgrywanie roli w tych bezdusznych dekoracjach. – Zatoczyła ręką półokrąg, który objął nie tylko tablicę, ale i nauczycielkę.

– I na pewno ci się wydaje, że jestem zbędnym rekwizytem, czy tak?

– Na scenie nie ma zbędnych rekwizytów. Jeśli na ścianie wisi strzelba, to ona w którymś z aktów musi wystrzelić.

– O tak, pozwól więc, że moja strzelba wystrzeli już w pierwszym akcie i kolejnych nie będzie. – Nauczycielka nachyliła się nad dziennikiem i z namaszczeniem wpisała w swoim mniemaniu jedynie słuszną ocenę.

Reszta lekcji minęła w ciszy, bo nikt nie odważył się nawet pisnąć

na inny temat niż zadany. Justyna zbladła z przejęcia. Podsunęła koleżance kartkę do szybkiej wymiany uwag:

– I coś ty najlepszego zrobiła, wariatko?

– Dynda mi to.

– Komentary na FB widziałaś?

– Nie, ale też mi to dynda, już nie mam nic do stracenia, idę na całość.

– Tylko po co?

– Nie wiem. Czuję, że dzieje się coś, czego nie pojmuję.

– Ja też ciebie nie pojmuję.

– No widzisz, nawet ty, więc jak tu żyć?

W odpowiedzi Justyna narysowała stworka rwącego włosy z głowy. Na przerwie Sonia dorwała się do swojego profilu na fejsie. Wszystkie zniewagi przełknęła. Trochę poczuła się różnie, bo nie było komentarza od Karola, a niemożliwe, by nie widział fotki. W pierwszym odruchu chciała wykasować najbardziej opluwające, sugerujące wodę sodową, która jej uderzyła do głowy, głupotę, debilizm, kretynizm, naiwność, a zostawić tylko te, w których podziw był wymieszany z zazdrością.

Machnęła jednak ręką. Postanowiła nie odnosić ani jednego słowa do siebie i dalej robić to, co jej przyjdzie do głowy. Nie było to jednak proste, jak na pozór się wydawało. Słowa Eweliny ciągle kołatały w głowie: „Ta odmóżdżona kretynka wrzuca na fejsa fotomontaże. Byłam na koncercie, widziałam, jak została potraktowana z kopyta”.

– Soniu, nie przejmuj się – powiedział Daniel, który podszedł, kiedy stała sama na korytarzu i patrzyła w okno.

– Daj spokój – odburknęła.

Też zaczął obserwować ulicę, jakby na znak, że trzyma z Sonią bez względu na wszystko. Śnieg zniknął, z krzaków po drugiej stronie ulicy wyfruwały worki foliowe podrywane przez wiatr. Ludzie przechodzili nieśpiesznie, samochody zatrzymywały się na czerwonych światłach. Drzewa jeszcze nie miały pąków, więc wyglądały smutno.

– Nie przypuszczałam, że mam tylu wrogów, przecież nic nikomu nie zrobiłam, więc dlaczego?

– Głupota jest nieuleczalna i prawdopodobnie zakaźna, bo

przybiera rozmiary epidemiczne – mówi jedno z praw Murphy’ego – zacytował. – Na twoim profilu jeden napisał głupotę, inni ją spotęgowali, proste, prawda?

– Znasz inne prawa?

– Jasne. Na przykład: „Im bardziej próbujesz zrozumieć łatwy problem, by go rozwiązać, tym bardziej widzisz, że nie jest on taki łatwy”.

– Jaki z tego wniosek?

– Przejść obok. Jutro będą inne niusy.

– Jesteś mądry.

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

– Fajny z ciebie kolega – powiedziała, uśmiechając się.

– Słuszny wniosek. A według Murphy’ego: „Wniosek to punkt, w którym nie masz już siły dalej myśleć”.

*

W domu Sonia usiadła od razu przy biurku i zabrała się do pracy. Na portalu blog.pl założyła blog o nazwie IDOL. Pracowała nad nim ponad pięć godzin. Wybrała szablon jak najbardziej przejrzysty, z jasnym tłem. Zamieściła notę biograficzną o bohaterze, wypisała nagrody, projekty i spektakle, w których brał udział. Utworzyła także dział Galeria, gdzie dodała kilka fotek, dział Teledyski oraz Płyty. Korzystała ze strony internetowej autora, co wyraźnie zaznaczyła.

O sobie napisała:

Sonia, licealistka. W przyszłości dziennikarka.

Chciałaby nie krzywdzić i nie kłamać.

Nie znosi matematyki i kilku koleżanek.

Lubi kolory złotej jesieni, naleśniki z dżemem brzoskwińowym, szum morza i wiatr we włosach.

Uwielbia Artura G., mężczyznę prawie idealnego.

Pierwszy wpis był krótki, starała się, aby pozostał rzeczowy i powściągliwy, co nie do końca jej się udało:

Oto mój IDOL.

Wszystkie piosenki w jego wykonaniu są rewelacyjne. Ale *Milionerzy*, *Pod Gadającym Kotem*, *Duch, dusza i ciało*, *Obecny narzeczony* najbardziej mi się podobają. Piosenki brawurowe, dowcipne, nieco kabaretowe i liryczne, trochę melancholijne i groteskowe. Wykonanie bezbłędne pod względem dykcji i aktorstwa. Wyrazista mimika, lekkość w ruchach. Do tego głos brązowo-pluszowy, talent i charyzma. I jeszcze uroda będąca mieszanką anioła z Bondem.

Nie wiedziała nic o zasadach blogowania, to były jej pierwsze kroki. Postanowiła doksztalić się dzięki instrukcjom zamieszczonym w dziale Akademia.blog.pl, przeznaczonym dla blogerów z tej samej platformy co ona. Nie wiedziała, jak promować swój blog na Instagramie i Twitterze. Postanowiła założyć tam konta i stać się najprawdziwszą blogerką. Wiedziała jedynie, że na świecie są miliony blogów, co sekundę powstają kolejne, więc zdobycie czytelników to naprawdę ciężka praca. Czowała, że bloga nie będzie pisała dla siebie, bo to nie szuflada, w której można coś ukryć.

Rozczytała się w wypowiedziach blogerów i nabrała przekonania, że uda jej się, jeśli będzie pisała regularnie, bo przez brak dyscypliny na pewno bloga nie rozkręci. Musi też być oryginalna, wyrazista i przekonująca. Nie chciała stać się jedną z tysiąca fanek Artura, które wypisują słodkości na jego fanpage'u, ani jedną z tych, które rzucają różę na scenę, a tym bardziej z tych, które przynoszą maskotki, piszą rymowane wierszyki czy – co gorsza – rzucają na scenę czerwone stringi.

Od pierwszej noty wierzyła, że pisanie ma sens i że teraz, mając własną platformę wypowiedania się, a nie tylko szkolną gazetkę, zrobi coś dobrego dla siebie, dla Artura i przyszłych czytelników. Czowała też, że dzięki pracy, którą włoży w prowadzenie bloga, zasłuży na podziw koleżanek opluwających ją na fejsie i na podziw Karola, który ją porzucił dla Eweliny. Miała też nadzieję, że Ewelina się wreszcie

zamknie i przestanie jej dokuczać.

Nie podała swojego nazwiska, ale chciała pokazać siebie jako dziewczynę z kości, krwi i pasji. W wyobraźni już teraz widziała, jak odnosi sukces, odbiera statuetkę blogerki roku, no i oczywiście jest przyjaciółką Artura, który będzie o niej wspominał w różnych wywiadach. Oczywiście to nie stanie się szybko, ale wierzyła, że dziwnym zrzędzeniem losu stanie się szybciej, niż mogłoby się stać.

Po prostu tak się stanie. I to ją uratuje, wyniesie na powierzchnię. I od tej chwili każdy będzie wiedział, że ona, Sonia, jest Sonią. Jest Sonią. I już.

13. Drugie spotkanie z Idolem

Znała harmonogram występów Artura. Skopiowała go z jego strony internetowej, wkleiła do tabletu, który zawsze miała pod ręką, i wyuczyła się na pamięć. W poniedziałek o godzinie 10.40 występował w programie *Pytanie na Śniadanie*, w TVP 2, po południu grał w Teatrze 6. piętro, w spektaklu *Bromba w sieci*. Sonia ustawiła nagrywanie w telewizorze, by po południu zobaczyć i posłuchać, co mówił. Udało jej się znaleźć ten program w sieci i dołączyć link do bloga. We wtorek koncertował w Gdańsku, w środę w Londynie, w ambasadzie polskiej, w czwartek w Oxfordzie, w Hertford College Chapel, w kolejnym dniu już na Gali Wielkiego Splendoru w Polskim Radiu w Warszawie.

Kiedy w takim razie będzie w Katowicach? Sonia przeraziła się, że tydzień minie i ze spotkania nic nie wyjdzie. Nie miała czasu do stracenia. Nie zastanawiając się długo i nie cyzelując każdego słowa, napisała:

Puk, puk, tu Sonia, dzień dobry. Patrząc na Pana plan występów i w głowie mi się kręci od samego czytania. Powiedział Pan, że pod koniec tygodnia odwiedzi babcię w Katowicach i spotka się ze mną, ale to chyba niemożliwe, bo jeszcze w piątek jest Pan w Canterbury. Nie nadążam za Panem, żyje Pan w kosmicznym tempie. Jak Pan to robi?

Serdecznie pozdrawiam,

Sonia

Nie miała odwagi napisać nic więcej, liczyła bardziej na cud niż na odpowiedź, a jednak ją otrzymała i to w ciągu godziny.

Soniu, pamiętam. U babci będę w niedzielę, podaj numer telefonu, wyślę wiadomość, ale już teraz wiem, że będę miał dla Ciebie nie więcej niż pół godziny, przepraszam. Jak to robię, że jestem i tu, i tam? Wstaję o świcie, śpię w samolotach i pociągach, sprężam się najmocniej, jak mogę. Po prostu: uwielbiam mocno żyć. Przesyłaj kolejne pytania,

odpowiem i tym samym będziesz miała kawałki, które potem zredagujesz.

Serdecznie i ja Cię pozdrawiam,

AG

Poczuła się uskrzydłona. Odańczyła taniec radości, zwyczajem Anieli. Uzupełniła blog o kolejne informacje. Zamieściła też drugi wpis: Nasza korespondencja kwitnie. Pozwalam sobie udostępnić jej fragmenty, oczywiście te dotyczące życia zawodowego mojego Idola. Prywatność jest moją słodką tajemnicą.

Napisał:

Uwielbiam mocno żyć. To cudowne, że mogę rano udzielać wywiadu w polskiej telewizji, wieczorem w angielskiej. Sprężam się maksymalnie, planuję dzień perfekcyjnie, ale pomiędzy i tak znajduję czas, by rozmawiać z Sonią. Świat jest na wyciągnięcie ręki. Teatr daje mi moc. Bo w teatrze są moi widzowie. Dbam o nich, bez nich mój świat byłby uboższy.

Trochę „podrasowała” tę wypowiedź, ale jej nie przeinaczała, przynajmniej tak się wydawało. Pamiętna wskazówek, by blog uatrakcyjniać, zamieściła zdjęcie Artura, który wznosi oczy, a rękami obejmuje nagie kolana. Ubrany jest tylko w skąpy podkoszulek. Uważała, że fotka, choć upozowana i wyjęta z teledysku, świetnie koresponduje z krótką wypowiedzią, pokazuje bowiem aktora takim, jakim może być w zaciszu swoich kątów.

Choć blog już w sieci funkcjonował, nie odważyła się jeszcze pochwalić nim na fejsie. Chciała mieć tam co najmniej kilkanaście wpisów, które by sugerowały, że jej kontakty z Arturem są bardziej intensywne, niż były w rzeczywistości. Szczególnie potrzebne jej były prywatne fotki, na których widać ich będzie razem, najlepiej niepozowane albo zrobione Arturowi z ukrycia. Musiałaby więc zabawić

się w typowego paparazzo. Tylko skąd miałyby wziąć profesjonalny aparat z długim jak lufa obiektywem?

Dysponowała tylko małym, mieszczącym się w torebce nikonem. Był dobry do robienia fotek na wakacjach, ale nie do takiego bojowego zadania. Już lepszy wydał jej się tablet, choć musiałyby mieć wyjątkowe szczęście, by zrobić nim nieporuszone zdjęcia. Mało tego, musiałyby wiedzieć dokładnie, kiedy Artur przyjedzie i którą drogą pójdzie. Postanowiła spróbować, nie licząc na zbyt wiele.

W e-mailu wysłała Arturowi numer telefonu, jak prosił. Od razu odpowiedział krótkim „dziękuję”, co ją bardzo ucieszyło, bo był to kolejny krok ich znajomości. Każda z tych czynności budziła w niej miły dreszcz, owiany na razie tajemnicą, dopóki nie wykorzysta jej na swoim blogu, co zresztą zamierzała zrobić, nieco konfabulując i koloryzując. Z jednej strony traktowała blog jak rodzaj dokumentu związanego z życiem aktora, z drugiej strony jak fikcję, do której zdarzenia autentyczne byłyby inspiracją. Gubiła się w swoich „ideach”, czuła, że brakuje jej konsekwencji w pomysłach na zapiski. Jednego tylko była pewna: celu, do którego dążyła.

Cel uświęca środki, powtarzała. Trzeba być lwem i lisem, wówczas osiągnie się zamierzone. Skąd brała te mądrości, nie do końca sobie przypominała – czy to z przysłów wypowiedzianych przez babcię, czy z aforyzmów cytowanych przez ojca. Niedawno oglądała odcinek starego serialu o Hansie Klossie, który jako polski agent wyprowadzał Niemców w pole. W jakimś sensie chciała być agentką. Działać konspiracyjnie. I pochwalić się osiągnięciami.

Czuła wewnętrzne rozedrganie, jakby coś ją w środku goniło, nakazywało działać szybciej, sprawniej. Budziła się po kilka razy w nocy ze strachem, że czegoś zapomniała albo z czymś nie zdążyła i przez swoją niewydolność zaprzepaści szanse podarowane przez los. Czuła się wówczas rześka, czasami zasiadała od razu do komputera, otwierała blog, sprawdzając, czy przybyło wejść na stronę albo czy ktoś zostawił komentarz. Zasypiała ponownie o piątej nad ranem i nie potrafiła wstać o siódmej.

Mama przyglądała się temu z boku, babcia dopytywała wprost:

– Może się zakochałaś, Soniu?

- Raczej się odkochałam, babciu. Już się nie spotykam z Karolem.
- To na pewno cierpisz.
- Ani trochę – odpowiadała z pełnym przekonaniem.
- To znak, że nie byłaś w nim zakochana.
- Widocznie nie byłam, choć mi się wydawało, że jednak tak.

Ciocia Nina kiwała tylko głową, jakby na znak, że skądś to zna, ale nie za bardzo wie skąd. W końcu podsumowywała wątpliwości słowami:

- Młodość, po prostu młodość.
- Ona cały czas pisze i się uczy – swoje dorzuciła babcia. – Może powinnaś pójść do kina? – zaproponowała.
- Pójdę do teatru, w niedzielę – Sonia podchwyciła pomysł. – Chcę zobaczyć komedię *Psiuńcio*.
- Tak, koniecznie idź na komedię, świat od razu wyda ci się weselszy.

Miała więc usprawiedliwienie do wyjścia z domu w niedzielę. Czekala tylko na wiadomość od Artura, którym pociągiem przyjedzie i gdzie się spotkają. Nie chciała wprowadzać w swoje tajemne plany ani Justyny, ani tym bardziej Daniela. Wywiad z aktorem był teraz dla niej ważny o tyle, o ile będzie mogła wykorzystać Artura do celów blogowych.

Straciła apetyt. Pod czujnym okiem babci na śniadanie zjadała małą kanapkę albo kilka łyżek owsianki. Tłumaczyła, że rano jest zawsze nerwowo, dlatego nie może zjeść więcej. Zabierała za to drugie śniadanie, na które w szkole zawsze znajdowała kogoś chętnego. W ustach czuła suchość, w uszach szum, w głowie jej się kręciło. Piła wówczas wodę, oddychała przy otwartym oknie i wracała do równowagi.

W ciągu tygodnia złapała trzy oceny niedostateczne, ale wcale się tym nie przejęła. Nawet nie pomyślała, by umówić się na ich poprawienie. Szkoła wydawała jej się teraz przykrym obowiązkiem, który wypełniała dla świętego spokoju.

- Wyglądasz jak śmiertka na chorągwi – powiedziała Justyna.
- Pączki w maśle są niemodne – odparowała.
- Nie jestem pączkiem.
- Przecież nie mówię o tobie, tylko ogólnie.

– Co tu się dzieje? – narzekała Justyna. – Z ciebie bladawiec, z Eweliny straszycło, czub sobie postawiła, polakierowała na zielono, oczy czarne, usta czarne, paznokcie czarne.

– Nie wspominaj mi o tej lafiryndzie.

– Dyrektora wezwała ją do siebie – Justyna kontynuowała, jakby nie słyszała uwagi koleżanki – a ta po chwili wybiegła, fucka pokazała wszystkim, którzy czekali na rozwój wypadków, i już nie wróciła.

– I co? – Sonia nagle się zainteresowała.

– Nie wiedziałaś o tym?

– Nie śledzę lafiryndy, więc skąd miałam wiedzieć?

– Bo wszyscy o tym mówili.

– Dzisiaj jest w szkole?

– Nie ma jej od dwóch dni, może zrezygnowała.

– Karola też nie ma?

– Karol jest, czemu pytasz o Karola?

– Pomyślałam, że może razem wagarują, co byłoby mi na rękę, bo przynajmniej lafirynda by mnie nie śledziła.

– Nikt cię nie śledzi, może ci się tylko tak wydaje.

– Śledzi, śledzi, ciągle czuję, że ktoś za mną chodzi.

– Może cię umówię z moją mamą?

– Twoja mama jest laryngologiem, a mnie gardło nie boli.

– OK, ale mama zna innych lekarzy i może by ci coś doradziła.

Sonia pomyślała, że Justyna się o nią troszczy, i z tej choćby racji nie powinna wiedzieć zbyt wiele. Uznała troskę za znak ostrzegawczy. Postanowiła mówić jak najmniej i wcale nie pytać. Daniel ostatnio nie zagadywał do niej, co było jej na rękę. Czasami przychodziło jej do głowy, by do niego zadzwonić wieczorem, tak zwyczajnie pogadać, ale odkładała to na potem, kiedy wreszcie czegoś dokona. Czowała, jakby miała do spełnienia misję i jakby wszystko było temu podporządkowane.

W sobotę dostała wreszcie upragnioną wiadomość od Artura: „Niedziela, godz. czternasta trzydzieści. W Wedlu, galeria, tylko pół godziny”. Poczowała się, jakby wsiadła do stukonnej bryczki. Od razu sprawdziła, że pociąg z Warszawy przyjeżdża o czternastej osiemnaście. Powinna tym samym czyhać na peronie i z niewidocznego miejsca zrobić Arturowi fotki, jak wysiada. Mogło się nie udać, bo nie wiedziała,

w którym wagonie będzie jechał, a pytać już nie chciała, by nie ściągnąć niepotrzebnych podejrzeń.

*

Nie mogła się doczekać tego spotkania. Przyjechała na dworzec pół godziny wcześniej. Sprawdziła numer pociągu i układ wagonów. Był tylko jeden wagon pierwszej klasy, który zatrzymywał się w sektorze A. Założyła, że to z niego wysiądzie Artur. Wybrała sobie miejsce po lewej stronie, przy schodach prowadzących do tunelu i dworca. Istniało małe prawdopodobieństwo, że Artur będzie się rozglądał, raczej skieruje się wprost na schody. Pociąg został już zapowiedziany, pozostało pięć minut do przyjazdu. Czekwała w napięciu. Ubrana była w krótką szarą spódniczkę, czarną lekką jak puch kurtkę, na nogach miała wysokie kozaki. Na głowie szarą czapkę. Rękawiczki schowała do kieszeni i ręce już jej trochę zmarzły.

Pociąg pendolino wjechał na peron punktualnie. Pomyślała, że jeśli nawet Artur by ją zobaczył, jak robi zdjęcia tabletem, będzie potrafiła obrócić to w żart. Od razu go spostrzegła, zadygotała z emocji, odetchnęła zadowolona, że dobrze wydedukowała ewentualny przebieg zdarzeń. Schowała się lekko za filarem i pstryknęła kilka fotek, z których, jak się potem okazało, tylko trzy były wyraźne, ale i tak była zadowolona, szczególnie z tej, kiedy Artur się zatrzymał, by zapiąć kurtkę. Szła za nim, w bezpiecznej odległości, i nie mogła sobie odmówić przyjemności sfotografowania go od tyłu, kiedy wszedł już w rozświetloną halogenami przestrzeń dworca.

Nie oglądał wystaw. Wszedł do kiosku z gazetami, który znajdował się tuż przy wejściu do galerii, po prawej stronie. Kupił gazetę i ją zrolował. Chwilę, kiedy stał przy kasie, też udało się Soni uwiecznić. Do ich spotkania pozostało równo pięć minut. Kawiarnia mieściła się na prawo od tego samego wejścia, czyli właściwie na wprost kiosku. Artur usiadł przy stoliku z brzegu i to dało jej szansę zrobienia jeszcze jednego zdjęcia. Dopiero wówczas schowała tablet do torby przewieszanej przez ramię, na ukos.

– Spóźniłam się? – zapytała, podchodząc do stolika.

– Dzień dobry, to ja przyszedłem trzy minuty wcześniej –

powiedział. – Cieszę się, że jesteś punktualna, czego się napijesz? – zapytał. – Bo dla siebie zamówiłem już kawę.

– To ja proszę wodę... gazowaną.

Wyciągnęła notes, długopis i dyktafon, który sprawnie uruchomiła, bo przećwiczyła to w domu wiele razy.

– Mam zapisanych wiele pytań, które dotyczą pana drogi do sukcesu – rozpoczęła. – Nie zadam wszystkich, bo pamiętam, że pan ma dla mnie tylko pół godziny.

– Dokładnie trzydzieści trzy minuty. – Artur się roześmiał.

– Jest pan hojny – zażartowała i nie mogła się nadziwić, że przy tym rozedrganiu, które w niej szalało, zdobyła się jeszcze na taką luźną odpowiedź.

Celowo dobitnie akcentowała słowo „pan”, z nadzieją, że Artur zaproponuje, aby i ona zwracała się do niego po imieniu. Nie zrobił tego. Czuła w nim jakiś chłód, jakby celowo zwiększył dystans wobec niej. W swoim odczuciu nie była nachalna, więc może wyobrażenie było mylne. Nie uśmiechała się podczas rozmowy, kontakt wzrokowy nawiązywała tylko od czasu do czasu, a i tak szybko, trwożliwie zerkała w notes, jakby tam znajdowała bezpieczeństwo. Zerkała też na czas nagrania, by nie przekroczyć wyznaczonej granicy. Ostatnie pytanie zadała w dwudziestej siódmej minucie nagrania.

– Dziękuję panu – powiedziała. – Bardzo dziękuję.

– Ja również, to były ciekawe pytania.

– Tylko nie wiem dlaczego – odważyła się – przestał mnie pan lubić. Czy zrobiłam coś złego?

– Dlaczego zakładasz, że cię lubiłem? Nie znamy się przecież, wprawdzie byłem miły, ale od początku traktowałem nasze relacje zawodowo.

– Innymi być nie mogą, nie jestem wariatką.

– Bardzo się cieszę, że się rozumiemy.

– Tylko... – Sonia się zawahała.

– Jakiś problem? – Artur uśmiechnął się tak jak na jednym z oficjalnych zdjęć.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego pan powiedział, że mam ładne włosy.

– Bo masz.

– Teraz to nawet się boję poprosić o wspólną fotkę.

– Mało ci tych, które zrobiłaś, kiedy wyszedłem z pociągu?

Sonia poczuła się tak, jakby ktoś niespodziewanie uderzył ją w tył głowy. Niby liczyła się z tym, że Artur ją zauważy, niby miała przygotowaną odpowiedź, a jednak zaskoczenie i sposób, w jaki aktor to powiedział, zimny, ostry, zupełnie wytrącił ją z równowagi.

– Zauważył pan – tylko tyle zdążyła z siebie wydusić.

– Oczywiście. Mam oczy dookoła głowy.

– To tylko takie sobie fotki, w dodatku niewyraźne – tłumaczyła.

– Dobrze, nie chcę robić z tego problemu. Zróbmy sobie to wspólne zdjęcie przy stoliku i uciekam do swoich przyjemności. – Artur wyraźnie chciał zakończyć spotkanie w trzydzieści trzy minuty, choć na początku wyglądało to na żart.

– Poproszę kelnera, by nas uwiecznił.

– Ho, ho, uwiecznił, nie przesadzajmy z wiecznością.

Sonia nie miała szansy zbliżyć się do Artura. Siedziała sztywno, trzymając w ręku notes, patrzyła w obiektyw tabletu, aby zdjęcie wyglądało z każdej strony na pozowane.

– Dziękuję, panu, dziękuję – powtórzyła, pakując swój dobytek do torby.

– Po zredagowaniu przyślij mi, proszę, tę rozmowę do autoryzacji, dobrze, Soniu?

Kiwnęła głową. To było jedyne miłe słowo, jakie Artur do niej dzisiaj wypowiedział. Nie podał jej ręki, nie uśmiechnął się szczerze, nie zaproponował, że ją odprowadzi, choćby kawałek. Odebrał jej tym samym szansę na to, aby ktoś ich razem zobaczył i na tej podstawie pomyślał sobie więcej, niż widział. Było jej bardzo przykro, nie pamiętała, by kiedyś czuła się podobnie. Kiedy uciekała z mieszkania Patryka w Krakowie, najwięcej miała w sobie wściekłości. Teraz siedziało w niej całkiem inne uczucie. Ból, żal połączony z poczuciem niesprawiedliwości. Nic nie zrobiłam złego, nic nie zrobiłam, powtarzała. Nawet nie zamieściłam linku do bloga na fejsie. Cierpię za niewinność, przekonywała siebie.

Powoli budziła się w niej potrzeba odwetu. Bo jeśli cierpieć, to za

coś konkretnego. Gdyby mogła, to trasę z centrum miasta do domu by przebiegła, choć to ponad dziewięć kilometrów. Ani nie była dobra w bieganiu, ani aura temu nie sprzyjała, choć śnieg już stopniał całkowicie i w południe nawet na pół godziny wyszło słońce. W ciągu czterdziestu minut była na powrót w domu. Chciała się chyłkiem przemycić na górę, co jej się nie udało, bo cała rodzina siedziała w salonie i wszyscy wyglądali tak, jakby tylko na nią czekali.

– Soniu, chodź do nas, jak tam, opowiedz. – Mama wyglądała tak, jakby nic innego nie robiła, tylko czekała na powrót córki i jej relację.

– Co tu gadać, mam nagranie, było sprawnie, szybko, profesjonalnie, całe trzydzieści trzy minuty, to bardzo zajęty człowiek – powiedziała to właśnie tak, jak oczekiwała tego rodzina.

– To dobrze, to dobrze – mruknął ojciec zapatrzony w swoją gazetę.

– Nie mam czasu z wami siedzieć, do jutra muszę ten wywiad zredagować, więc lecę do siebie.

– Powiedz przynajmniej, czy się w nim zakochałaś – odezwała się Aniela ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Już ci całkiem odbiło, skoro ci to przyszło do głowy – warknęła i pobiegła na górę.

14. Wariatka albo samobójczyni

W pokoju, już u siebie, najpierw płakała, potem waliła ręką w poduszkę, na koniec kilka razy uderzyła się w twarz.

– Jestem idiotką, skończoną idiotką – powtarzała. – Wszystko stracone, tyle zabiegów na nic, lafirynda będzie górą, Karol nawet na mnie nie spojrzy, Justyna się odwróci, matematyczka wstawi kolejną lufę, Artur nie autoryzuje wywiadu, on wszystko może, ja nic nie mogę – ściągała na siebie kolejne nieszczęścia.

Potem weszła pod prysznic i stała pod nim co najmniej piętnaście minut, jakby ciepła woda mogła wypłukać z niej złe myśli. Nie miała ochoty na odsłuchiwanie rozmowy, tym bardziej na jej przepisywanie i czytelowanie. Wiedziała, że w języku mówionym jest dużo zbędnych słówek, jakie w druku pojawić się nie powinny, tak ją uczono na kursie dziennikarskim, na który uczęszczała cały poprzedni rok.

Usiadła przy biurku z takim przymusem, jakby miała odbyć karę. Najpierw zajrzała do swojego bloga. Tylko tego dnia miała trzydzieści wejść i zostawiono dwa komentarze. Niestety, nie takie, o jakich by marzyła:

Fajny ten Idol. Tylko po co ci on? Chyba że chcesz go uwielbiać z daleka.

Albo cwaniara z ciebie, albo idealistka.

Zamieściła kilka dzisiejszych fotek, którym dała ogólny tytuł *Ten dzień*.

Kolejne podpisała:

1. Przyjechał, wysiadł.
2. Zmierza wprost do miejsca spotkania.
3. Czeka (na mnie) w kawiarni.

4. Razem, nareszcie. Jaka szkoda, że obiektyw nie uchwycił poprzedniej sekundy, kiedy moja głowa wsparta była o jego ramię.

Czym jest miłość?

To największa wartość, lojalność, odpowiedzialność, cud świata.

Kto panu pierze skarpetki podczas zagranicznych wyjazdów?

Przywożę używane do domu. A tam pierze mi pralka.

W spektaklu Piaskownica jest pan raz dojrzałym mężczyzną, raz naiwnym chłopcem. A w życiu codziennym kogo w panu więcej?

Nie wiem, trudno to zmierzyć. Potrafię się cieszyć jak chłopiec. I pracować jak dojrzały mężczyzna.

Ciągu dalszego nie zdradzam, bo część odpowiedzi to nasza słodka tajemnica. Celowo używam formy „pan”, by wypadło bardziej oficjalnie.

Wahała się, czy powiadomić znajomych na fejsie o blogu, czy jeszcze poczekać. W końcu zdecydowała się upublicznić blog na swoim profilu. Pisanie to odwaga. Blog powinien mieć czytelników, nie po to go zakładała, by od nich stronić, utwierdzała się w słuszności swoich kroków. Nie chciała myśleć o reakcji znajomych. Postanowiła zarwać noc i zamknąć temat wywiadu, aby oddać go Danielowi jak najszybciej, już po zatwierdzeniu przez Artura.

Nie wiedziała co potem. Wiele będzie zależało od tego, jaką wymowę będzie miał e-mail od Artura, czy ją pochwali, jak się do niej zwróci, czy ciepło, czy tak oschle, jak w kawiarni. Nad ranem, koło trzeciej trzydzieści, wysłała gotowy tekst z krótką wiadomością:

Proszę Pana,

oto efekt naszej pracy. Proszę zerknąć i zdecydować, czy tak może być, ewentualnie poprawić. Serdecznie pozdrawiam.

Bardzo smutna Sonia

Nastawiła budzik w telefonie na szóstą trzydzieści. Była zmęczona. Od razu udało jej się zasnąć i bez problemu przebudziła się na dźwięk melodii w telefonie. Wstała, nie ociągając się, i weszła pod prysznic. Umyła głowę i podsuszyła włosy suszarką, czego nie lubiła robić, ale nie miała wyjścia, same by nie wyschły przed wyjściem do szkoły.

Na śniadanie wypiła kubek kawy z mlekiem i wmusiła w siebie dwa biszkopty. Nie miała ochoty na nic więcej. Potulnie zabrała kanapki, bo w szkole miała je komu dać.

– Nikniesz w oczach, nikniesz w oczach – narzekała babcia Nina.

– Nie chciałam ci wczoraj przeszkadzać, ale po południu musimy poważnie porozmawiać – dodała mama. – Czy zauważyłaś, że nas unikasz, nie opowiadasz o sobie, jak kiedyś, jakbyś nagle zaczęła wieść tajemne drugie życie? – kontynuowała.

– Mamo, ale o co ci chodzi, czy zrobiłam coś złego? – zapytała, udając rozbawienie.

– Mam nadzieję, że mi powiesz.

– Ależ, mamo...

– Skoro nic, to nasza rozmowa może być miła.

*

– Wiesz, o co chodzi? – Sonia próbowała podpytać siostrę, kiedy razem wyszły z domu, choć każda zmierzała w przeciwną stronę.

– Wczoraj mama rozmawiała z mamą Justyny, tą lekarką, a potem jeszcze z kimś. Wychodzi na to, że poznała twoje oceny i tylko ciągle

powtarzała: „Niemożliwe, niemożliwe”. Ale, jakby co, ja ci o tym nie mówiłam.

– Spoko, dzięki, nie bój się, wiesz, że potrafię milczeć jak milczek pospolity.

Mogła podjechać autobusem, ale postanowiła pójść pieszo, bo wyjątkowo wcześniej się pozbierała. Z osiedla skręciła w boczną drogę, która stanowiła świetny skrót do szkoły, dzięki czemu omijało się drogę główną, czyli trasę autobusową. W zimie zazwyczaj wsiadała w autobus, ale wiosną i wczesną jesienią lubiła te opłotki. Przeraziła ją perspektywa poważnej rozmowy z mamą, nie gwarantowało to niczego miłego.

Droga była pusta, niewiele osób minęła. Ciekawa była, czy Artur zareagował na wysłany e-mail. Wydawało jej się to niemożliwe, ale bardzo ją kusiło, by sprawdzić. Wyciągnęła telefon z kieszeni i kilkoma dotknięciami ekranu otworzyła pocztę. Czekają na nią dwa listy, od Artura i Daniela. Pierwszy nie mógł być bardziej lakoniczny:

Nic nie poprawiam, dzięki, Artur Gotz.

Miała ochotę krzyknąć: „I to już koniec?! Co złego zrobiłam?”. Próbowwała od razu odpisać, ale litery skakały jej przed oczami. Niestety, świat się ostatnio sprzysiągł przeciwko niej. Nie przeczytała kolejnego listu. Telefon trzymała w prawej ręce, choć najchętniej walnęłaby nim o pierwszy z brzegu mur.

Za dziesięć minut rozpoczną się lekcje. Zaczęła biec w prawo, potem na skrzyżowaniu dróg prosto. Nie zerknęła w lewo. Nadjeżdżający z głównej drogi samochód zatrzymał się z przeraźliwym piskiem. Nie usłyszała, jak nadjeżdża, przebiegała przed samą maską, plecak wiszący na lewym ramieniu spadł wprost pod koła, telefon wypadł i roztrzaskał się o beton. Przewróciła się i uderzyła głową o asfalt. Chciała się podnieść, ale poczuła ból w prawej nodze i ręce. Kierowca wyskoczył z samochodu, miotając przekleństwa.

– Nie ruszaj się, leż, leż! – krzyczał.

Sonia nie mogła pojąć, co się stało. Sięgnęła po plecak i namacała tablet. Miała nadzieję, że gruby pokrowiec go ochronił. Z telefonu pozostały tylko kawałki. Kierowca dzwonił na policję.

– Nic mi nie jest, niech pan nie dzwoni po pogotowie, zaraz się

pozbiernam – powiedziała, dotykając ręką prawej skroni.

– Nie pozwolę ci wstać, bo mozesz mieć złamanie albo co gorszego.

Wokół zebrało się już kilka osób. Każdy chciał podejść jak najbliżej. Chusteczką, którą podała jej kobieta z siatkami, dotknęła prawej, piekającej części twarzy. Wsiąkło w nią trochę krwi.

– Czy ktoś widział, jak ta dziewczyna wbiegła mi wprost pod koła?

– Widziałam, ale spieszę się do domu – powiedziała kobieta z zakupami.

– Czy może mi pan podać telefon? – Sonia wydawała się najbardziej zainteresowana jego stanem.

– Nie podam, to dowód mojej niewinności.

– Młodzi to tylko komórki i komórki, na uszach słuchawki, świata nie słyszą i pod samochody wpadają – narzekał staruszek.

– Dziewczyno, przed skrzyżowaniem się zwalnia, a ty jak wariatka albo samobójczyni wprost pod koła, dobrze, że dopiero co ruszyłem, bobym nie wyhamował. – Kierowca chodził w kółko rozdygotany.

– Co cię boli? – zapytał młody mężczyzna.

– Mówiłam już, że nic, i mogłabym wstać – upierała się.

– Po moim trupie. Gadała przez telefon i jeszcze biegła. No, gdzie to rozum miało? – Kierowca nadal złorzeczył i fotografował swoim telefonem komórkowym siedzącą na jezdni Sonię, samochód, jej rozbity telefon.

Wóz policyjny przyjechał równocześnie z ambulansem. Ratownicy przenieśli Sonię do wnętrza pojazdu i wypytali o obrażenia. Policjant poprosił o dowód osobisty. Podała szkolną legitymację.

– To moja wina, biegłam, nie spojrzałam – tłumaczyła.

– Kogo zawiadomić? – zapytał policjant.

– Najlepiej nikogo, rodzice się wystraszą.

– Jesteś niepełnoletnia, trzeba kogoś powiadomić, podaj numer.

Policjant podał jej słuchawkę.

– Mamo, to ja... Dzwonię z telefonu policjanta, bo mój się roztrzaskał.

– O Boże, co się stało? Wypadek?

– Nie bój się, przewróciłam się, ale już jest dobrze. Trochę się

potłukłam, nie płacz, jestem cała.

– Chcę rozmawiać z policjantem, oddaj mu telefon.

– Mamo, specjalnie ja dzwonię, abyś słyszała, że jestem przytomna.

– Jedziemy – ponaglił kierowca ambulansu.

– Nie róbcie mi tego – poprosiła. – Już mnie właściwie nie boli – kłamała.

– Miałaś więcej szczęścia niż rozumu, konieczne są prześwietlenia i jeśli będzie dobrze, to wrócisz do domu, rodzice po ciebie przyjadą – powiedział ratownik.

W szpitalu, w izbie przyjęć zbadano ją dokładnie. Prześwietlono prawą nogę, rękę, założono opatrunek na głowę. Sonia siedziała w poczekalni i czekała na wyniki prześwietlenia. Rozpłakała się, kiedy zobaczyła wchodzących rodziców.

– Tak mi wstyd, tak mi wstyd – powtarzała.

Mama uciszała ją i tuliła. Ojciec głaskał po głowie.

– Nie ma złamań, można zabrać córkę do domu i przez trzy dni obserwować, czy nie będzie zawrotów głowy, wymiotów. Gdyby się takie objawy pojawiły, proszę się od razu zgłosić do lekarza z tym wypisem. – Lekarz podał ojcu Soni wypełniony druk. – Miejmy nadzieję, że będzie dobrze, tak to przynajmniej wygląda.

– Miałaś dużo szczęścia – dokończył.

– Więcej niż rozumu – dodała.

– Jak to się stało, córeczko, jak? – dopytywała matka.

– Przepraszam, zagapiłam się, moja wina, przepraszam – powtarzała.

Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu i rozpocząć dzień od nowa. Najlepiej od chwili, kiedy zamyka furtkę, przychodzi na przystanek i wsiada do podjeżdżającego autobusu, który zawozi ją do szkoły. W autobusie miałyby całe siedem, a nawet i osiem minut na sprawdzenie poczty, może nawet zajrzałyby na fejsa. I nie stałoby się to, co się stało. W domu będzie się musiała wypowiadać przed domownikami, a kto wie, czy dodatkowo nie przed policją.

W samochodzie rozpłakała się na dobre.

– Nie wiem, jak to się stało, nie wiem, po co biegłam, nic z tego nie

rozumiem.

– Dlaczego nie pojechałaś autobusem? – zapytał ojciec.

– Nie męcz jej, Ryszardzie, nie teraz. Od kilku dni czułam, że coś wisi w powietrzu, że coś złego się wydarzy. To przez uzależnienie od Internetu, młodzi nie mogą bez tego żyć, żadnej harmonii w środku, ani rozmawiać nie potrafią, nie czują takiej potrzeby, ale łączność musi być bez przerwy, bez zasięgu nie istnieją.

– Agatko, proszę, teraz ty przestań i nie męcz gadaniem Soni. Odpocznie, to porozmawiamy.

– Soniu, porozmawiasz z nami? Przyrzeknij, że będziemy rozmawiać, dobrze, nie teraz, bo wszyscy jesteśmy w szoku.

– OK, pogadamy, jak się zresetujemy. – Sonia była gotowa się zgodzić na wszystko, byle tylko nie słyszeć lamentującej matki.

– Zresetujemy się... słyszysz, Ryszardzie, nawet język został skoligacony z siecią, stara nie jestem, a mnie to dziwi. Już w 1964 roku McLuhan wymyślił, że świat jest globalną wioską, bo dzięki szybkiemu przepływowi informacji i rozwojowi telewizji wiemy o sobie wszystko, jakbyśmy byli sąsiadami. Czy McLuhan mógł wówczas wiedzieć, co będzie za pięćdziesiąt lat? Że media elektroniczne obalą bariery czasowe i przestrzenne? Że teleks stanie się przeżytkiem? Że Internet nas wchłonie?

– Agatko, daj spokój, globalizacja będzie taka, jaką uczynią ją ludzie.

– Masz rację, ale zobacz, w jakim kierunku to zmierza? Powiedz, Soniu, co robili ludzie, kiedy samochód wpadł na ciebie?

– Fotki.

– Aha, fotki robili, a co powinni zrobić?

– Mamo, ustalmy fakty: to nie samochód wpadł na mnie, tylko ja wpadłam pod samochód. Moja wina. Przeprosiłam. Czy możemy dojechać do domu bez gadania? Głowa mnie boli.

– Głowa? To może wrócimy od razu do szpitala?

– Nie, mamo, tylko nie to, chcę do ciszy, do domu.

*

Babcia płakała, ciocia Nina także. Teraz już bardziej ze szczęścia,

że widzą wnuczkę całą, choć poobijaną.

– Wszystko zepsułam, babciu, wszystko. – Rozpłakała się. – Chciałam dobrze, wyszło źle, jeszcze nie zaczęłam, a już się skończyło – powtarzała.

– Nie płacz, skarbie, teraz musisz się przespać, bo sen jest najlepszym lekarstwem, zaparzę ci melisy, jest dobra na spokojność. – Babcia zamierzała ratować Sonię po swojemu.

Sonia prowadzona przez mamę po schodach słyszała, jak ojciec tłumaczył babciom: „Jest w szoku, nic konkretnego nie można się od niej dowiedzieć”. Pod prysznicem stała na tyle długo, że zaniepokojona mama zajrzała do łazienki. Pozwoliła jej otulić się miękkim szlafrokiem. Spojrzała w lustro. Nie miała siły skomentować swojego wyglądu. Potulnie połknęła poleczone przez lekarza tabletki.

– Będziesz miała cały bok siny, córeczko, to cud, to cud, że nic więcej ci się nie stało. Teraz postaraj się zasnąć, będę do ciebie zaglądać po cichu.

Kiedy została sama, wyciągnęła z torby tabletki i otworzyła swoją pocztę, by raz jeszcze przeczytać e-mail, który ją tak bardzo zabolął. Odpisała krótko:

Dziękuję Panu.

Otworzyła drugą wiadomość, od Daniela.
Powiedz, że to nieprawda.

Zupełnie nie rozumiała, o co chodzi. Wydarzenia z wczoraj, nocne pisanie, poranna droga do szkoły – wszystko stało się odległą przeszłością. Skarciła się za niewysłanie autoryzowanego wywiadu do Daniela. Nic dziwnego, skoro w jej odczuciu minęło dużo czasu. Czuła, że jest kłębkim nerwów i wszystkie melisy świata nie przyniosą jej spokoju. Niby pamiętała szczegóły, ale jak za mgłą, jakby tabletki od doktora miały moc oddalania.

Z przyzwyczajenia kliknęła w ikonkę fejsa. Przeczytała komentarze pod linkiem, prezentującym blog pod tytułem *Idol*. Nie zaboląły jej, choć nie brakowało szyderstw, kpin, nawet wyzwisk. Były też miłe słowa, ale te dotyczyły tylko Artura. Komentowały osoby,

których nie znała, może znajomi znajomych. Posty na jej osi czasu mogli oglądać wszyscy, nie wprowadziła żadnych ograniczeń. Nawet Eweliny nie zablokowała, ale ta jakoś przycichła, Karol też się nie odzywał.

Przymykała powieki i otwierała, sen przychodził powoli. Śniło jej się, że zadzwoniła Justyna i bardzo ją zwymyślała. Nie miała szansy przedrzeć się ze swoimi argumentami, powiedziała tylko:

– Justynko, przyjdź do mnie, pokłócimy się w domu.

15. Klębek drutu kolczastego

Przyjdź do mnie, pokłócimy się w domu, przyjdź do mnie – powtarzała we śnie.

Kiedy otworzyła oczy, przy łóżku siedziały mama, Aniela i Justyna.

– Co to za sabat? – zapytała. – Siedzicie tu nade mną jak wiedźmy.

– Raczej jak dobre wróżki, do więdźm nam jeszcze daleko, potrzebujemy więcej życia i doświadczenia – powiedziała mama.

– Podśluchujemy, co gadasz przez sen, ale mówisz niewyraźnie, więc w sumie to nie wiemy, w kim się zakochałaś i do kogo wzdychasz – zażartowała Aniela i przytuliła się mocno do siostry.

– Auuu – Sonia jęknęła. – Wiem, że mnie kochasz, ale nie tak mocno, to boli.

– Wyspałaś się? Lepiej ci? – zapytała Justyna.

– Jestem głodna, pójdę do kuchni coś zjeść.

– To dobry znak, zaraz przyniosę ci naleśniki. Dzisiaj cały dzień spędzasz w łóżku – zarządziła mama.

– Naleśniki? – ucieszyła się Justyna. – To może ja pójdę z panią i przy okazji się przymilę o jednego.

*

Nadal jej się wydawało, że od poranka minęło kilka dni, a dopiero co była czwarta po południu. Spała ponad cztery godziny. Próbowwała sobie przypomnieć, o co się kłóciła z Justyną. Czowała klimat tego snu, oburzenie Justyny, słyszała jej głos, który nijak nie łączył się ze znaczeniem wypowiedzianych słów. Po raz trzeci tego dnia sprawdziła pocztę. Nie było nowych wiadomości. Spozstrzegła, że nie odpowiedziała Danielowi. Dołączyła wywiad z Arturem i nagle sobie przypomniała, że to właśnie o Daniela wyklócała się z Justyną. O co dokładnie poszło, nie pamiętała.

Do Daniela napisała:

W załączniku rozmowa z Arturem, autoryzowana. Możesz składać

gazetkę, bo tylko na ten tekst czekałeś. Przepraszam, że to tak długo trwało. Chciałabym, aby odpowiedź na zadane w e-mailu pytanie była dla Ciebie pocieszeniem. Ale nie wiem, co jest prawdą, a co nieprawdą, co mam potwierdzić, a czemu zaprzeczyć. Naprawdę, Danielu, nic już nie wiem, poza tym, że intencje miałam dobre, a wychodzi na odwrót.

Sonia

Ani trochę nie było jej lżej po napisaniu tych kilku zdań. Nie pojmowała chaosu, który ostatnio ją osaczał. Zawsze marzyła o wielkich i prostych uczuciach, a okazywało się, że wszystko jest pokręcone, skomplikowane i nie do końca czyste. Coś zżerało ją od środka, prowadziło na wyboiste ścieżki, niespodziewane zakręty, zwodziło na manowce, podszeptowało kłamstwa. Gdyby zapytać Sonię, jakie cechy charakteru ceni u innych, odpowiedziałyby, że szczerłość, poczucie humoru, inteligencję, wytrwałość. Żadnej z nich nie znajdowała u siebie.

– Pyszne naleśniki z serem i sosem czekoladowym – powiedziała Justyna, wchodząc do pokoju z talerzem i kubkiem herbaty. – Taką babcię mieć blisko to skarb – dodała.

– Przypomniałam sobie, o co się ze mną kłóciłaś we śnie.

– Oj, ciekawa jestem, bo tematów byłoby kilka.

– Był jeden: Daniel. Ale nie znam szczegółów kłótni, tylko słyszę jeszcze twój wściekły głos.

– Widocznie telepatycznie przekazałam ci, że chciałabym porozmawiać o Danielu, ale najpierw zjedz i nabierz sił.

– Z góry zakładasz, że będę przeciwko temu, co powiesz? Nie bój się, złagodniałam w ciągu kilku minut.

– To można tak szybko się zmienić?

– Nie uwierzysz, ale tak było: zgrzyt opon, ja z wielką gracją wykładam się przed kołami i w jednej sekundzie przed oczami staje mi cała moja głupota.

– Popatrz, popatrz, jak to się dobrze złożyło, że tylko głupota, bo innym to całe życie się w takiej chwili wyświetla.

– Gdyby ten samochód porządniej mnie stuknął albo i rozprasował, to może bym więcej zobaczyła, a tak to tylko głupotę. No ale mów, co

z tym Danielem. – Sonia odstawiła pusty talerz na stolik obok łóżka.

Justyna założyła ręce do tyłu i splotła je, przybierając w ten sposób pozę nauczyciela lub rodzica starej daty, który chce palnąć mowę w kwestii zasadniczej. Okrążyła w tej pozie pokój trzy razy, podeszła do okna, zerknęła na drzewo, na którym dostrzegła małe pąki, spojrzała w sufit, w podłogę, pokręciła kilka razy głową.

– Długo jeszcze będziesz odstawiać ten teatr? – Sonia czuła, że Justyna celebrytuje swoje wystąpienie.

– Zastanawiam się, jak by ci to powiedzieć, aby cię nie urazić i aby otrzymać sensowną odpowiedź.

– Najlepiej prosto z mostu.

– Kiedy nic nie wydaje mi się proste.

– A wiesz, że właśnie myślałam o tym, że to my sami bardziej komplikujemy sprawy, bo nie chcemy ich zobaczyć takimi, jakie są, tylko szukamy drugiego dna, kiedy dno jest tylko jedno?

– OK, pierwsze proste pytanie. Dlaczego twoim idolem musi być Artur?

– Błyskawiczna odpowiedź. Dlaczego nie?

– Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie, skup się, choć jesteś stuknięta dosłownie i w przenośni.

– Bo tak! Bo jest niesamowicie utalentowany, odnosi sukcesy i chciałam kogoś takiego poznać bliżej, by wiedzieć, jak żyć, by odnieść sukces, imponować innym i aby się ze mną liczyli, by mnie nie traktowali jak przedmiot, nie porzucali w pół zdania, nie przedstawiali jak krzesła, aby...

– Stop, stop!

– Dlaczego „stop”? Pytasz i masz! Artur, bo Artur, bo jest młody i tak dużo osiągnął, a ty byś wolała, aby moim idolem był jakiś święty, a nie człowiek, który się ze mną umawia w galerii handlowej!

– Pokrzyycz sobie jeszcze, pokrzyycz.

– Nie krzyczę, tylko argumentuję. I w ogóle jaki związek ma twoje pytanie z Danielem?

– A ma, żebyś wiedziała, że ma! Byłam u Daniela i wiem, że on też ma swojego idola, a raczej idolkę.

Tego się Sonia nie spodziewała.

Po pierwsze, nie przypuszczała, że Justyna odwiedza Daniela w domu, a po drugie, że Daniel może mieć idolkę. Zupełnie jej to do niego nie pasowało. Był chłopakiem mądrzejszym od rówieśników, inteligentnym, bystrym, mającym i poczucie humoru, i wewnętrzną siłę. Uświadomiła sobie to teraz, choć przecież od dawna to wiedziała. Pisał artykuły o ciekawostkach z fizyki, uwielbiał opowiadać o dziwnych właściwościach liczby 54 i o ciągu Fibonacciego. To przecież dzięki niemu Sonia wiedziała, czym są liczby urojone i ludolfina, a czym złota liczba. Daniel opowiadał o tym tak zwyczajnie, jakby jadł bułkę z masłem.

Dziewczyny go lubiły, bo chętnie pomagał im zrozumieć zawilosci matematyki i fizyki, ale go nie czarowały, nie próbowały się z nim umawiać jak z Karolem. Był wysoki, szczupły, jasnowłosy. Twarz miał łagodną, często się uśmiechał, nie uwodził spojrzeniem, jak inni, nie chodził do dyskotek. Można by go prędzej spotkać w bibliotece albo w muzeum niż w kawiarni.

Korciło ją, by zapytać, po co była u Daniela. Byłoby to jednak najgłupsze pytanie na świecie. Sonia nawet nie wiedziała, gdzie Daniel mieszka, czy ma rodzeństwo, czy jeździ na rowerze, jakiej muzyki słucha. Od czasu, kiedy jej zaproponował pisanie do gazetki, rozmawiali z sobą częściej, ale raczej „zawodowo” niż prywatnie. Dostała od niego na urodziny różę, której pozwoliła uschnąć, i zawiesiła ją przy bocznej lampie, na ścianie.

– Co cię tak zamurowało? – Justyna przerwała jej rozmyślenia.

– Myślę, kim może być idolka Daniela. Nie pasuje mi ani aktorka, ani piosenkarka. Może ktoś ze świata polityki? Bo chyba nie Matka Teresa.

– Właściwie to mogłaby być świętą, bo całe swoje życie poświęciła dla ludzkości. Daniel mówi, że kobiety całego świata powinny nosić medalik z jej wizerunkiem.

– O matko i córko, w wysokie tony uderzył, nie dręcz mnie, powiedz kto to.

– Maria Skłodowska-Curie. – Justyna zrobiła tryumfującą minę.

– Przecież ona od dawna nie żyje! – krzyknęła Sonia.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego cię to tak ucieszyło. Zaraz,

zaraz... próbuję iść twoim tokiem rozumowania.

– Daruj sobie, nie ma w tym drugiego dna, po prostu idol to dla mnie ktoś żyjący tu i teraz, ktoś, kogo można podziwiać w realu.

– Możesz ją podziwiać w realu, bo dzięki niej...

– Tylko nie wygłaszaj wykładu, pliiizzz, zaświaty to nie real, chyba że traktujesz je jako rodzaj matrixa, wówczas wszystko jest możliwe.

– Coś w tym jest, Soniu, coś jest.

Umilkły obie. Jakby na komendę pogrążyły się w swoich wirtualnych bytach, bo każda coś sprawdzała. Sonia pocztę, bo była ciekawa, czy Daniel zareagował na przysłany list. Drgnęła, bo była odpowiedź. Niestety, nie taka, jakiej się spodziewała, tylko jedno słowo: „Dziękuję”. Ani słówka komentarza, ani pół pytania o jej zdrowie. Jakby nie Daniel odpisywał, jakby to robił ktoś zupełnie obcy.

– Nie rozumiem Daniela, zawsze taki rozgadany, a teraz cisza – szepnęła Sonia, wyraźnie zmartwiona.

– Mnie to nie dziwi – mruknęła Justyna, nie odrywając oczu od ekranu telefonu.

– Dlaczego?

– O matko, alboś bardziej tępa, niż myślę, albo zgrywasz głupa.

– Nie zgrywam.

– To w takim razie mam tępą koleżankę, w dodatku z klapkami na oczach, i w ogóle nie kumam, czemu dla ciebie tracę czas, mogłabym pogadać z Danielem, przynajmniej bym się czegoś dowiedziała.

– Czuję, że ty wiesz na ten temat więcej niż ja.

– Dobrze czujesz, ale nie licz na to, że puszczę parę. Powiem tylko, że przez swoją ślepotę, by nie powiedzieć raz jeszcze, że głupotę, to sobie nieźle nagrabisz i stracisz przyjazne dusze.

– Myślisz?

– Wyobraź sobie, że myślę! Mało tego, czasami coś wiem na pewno.

– No to piśnij słówko.

– Już piśnęłam i nic więcej ze mnie nie wydobędziesz, chorą i stukniętą nawiedziłam, a teraz spadam, a ty rozmyślaj. Albo módl się o powrót rozumu.

Justyna miała cięty język i to Sonia w niej lubiła, nawet jeśli

czasem bolało. Teraz też miała rację. Od czasu spotkań z Karolem, a już na pewno od rozstania w Krakowie coś się porobiło w niej złego. Nie potrafiła tego zdefiniować. Czasami była blisko refleksji, która prowadziły ją na dawne, czyli prostsze ścieżki, a jednak wpadała ponownie w gmatwaninę skomplikowanych emocji, odrzucając to, co mogłoby ją zatrzymać i naprawić. Tak, trzeba mnie naprawić, pomyślała, coś się we mnie zepsuło.

Kotłowała się w niej wygórowana ambicja z zazdrością, wściekłością, nawet nienawiścią. Godziła się na wściekłość, ale nie dawała sobie przyzwolenia na jej uzewnętrznianie, wołała siebie samą targać za włosy albo uderzać w twarz. Podczas rozmowy z Justyną w pewnej chwili chciała przytulić się do niej, jak to kiedyś robiła, powzdychać, opowiedzieć, jak w niej się kłębią najróżniejsze chęci i ambicje, jak przeskakują jedna drugą i jaki bałagan w niej robią. Ale nie przytuliła się, nic nie powiedziała. Stała się inną Sonią i nie wiedziała, gdzie zgubiła się poprzednia. Wystawiała kolce i szybko chowała. Uwierały ją od wewnątrz, raniły, wyciskały gorycz.

Czuła, że łyzy jej lecą ciurkiem. Ogromne. Babcia Nina powiedziała, że były to łyzy jak grochy. Ale ciche, bez spazmów i szlochów. Sięgnęła po chusteczkę, kiedy do pokoju przez przymknięte drzwi zajrzała mama.

– Płaczesz, skarbie? To dobrze, powinnaś sobie popłakać. Nie będę wypytywać dlaczego.

Sonia wytarła nos, położyła się i odwróciła do ściany, jakby tą pozycją chciała zmanifestować niechęć do rozmowy. Szuranie krzesła stojącego przy biurku oznaczało, że mama przysunęła je do łóżka, a nie o to Soni chodziło.

– Soniu...

– Mamo, nie dzisiaj, proszę, tylko nie dzisiaj.

– Podjęliśmy z ojcem decyzję: jak wydobrzejesz po kilku dniach w domu, pójdiesz na terapię, już cię umówiliśmy.

– Jak to? Bez mojej zgody? – Odwróciła się gwałtownie oburzona.

– Mamy nadzieję, że się zgodzisz. Zakleszczyłaś się w środku, zasznurowałaś, to widzę, ale jak ci pomóc, nie wiem, bo milczysz.

W ciągu dwóch tygodni dostałaś kilka ocen niedostatecznych, wszystko

wiem. Wiem także o rozstaniu z Karolem i o Arturze. Wypadek wydaje nam się z każdej strony podejrzany, więc tym bardziej uważamy, że pora nam, rodzicom, wkroczyć do akcji, aby zdążyć ochronić cię przed samą sobą.

– Mamo, kto ci naopowiadał bzdur, nic się nie dzieje, poradzę sobie, poza tym dlaczego mam chodzić do obcego psychologa, skoro ty jesteś psychologiem.

– Pedagog radzi sobie z dziećmi, poza swoimi, lekarz stara się nie leczyć bliskich, w przypadku, rzecz jasna, chorób wymagających wielu konsultacji. Najciemniej jest pod latarnią, Soniu, dlatego my też wielu rzeczy nie widzimy, choć mamy oczy dookoła głowy. Rozumiem, że są takie sprawy, o których nie powie się matce, a powie obcej osobie. Może chcesz mieć jakąś tajemnicę, nie wiem. Pamiętaj, że jestem dla ciebie i we dnie, i w nocy, ale najpierw spotkanie u psychologa, dobrze?

Sonia rozplakała się na dobre, otwarcie, głośno jak mała dziewczynka, która jest pewna, że czym głośniej będzie płakać, tym mniej będzie boleć.

– Mamuś, przepraszam, przepraszam – wyszeptała, tuląc się do ramienia matki.

– Pamiętaj, że jak będzie trzeba, to całą rodziną możemy pójść na terapię, może coś przegapiliśmy, może trzeba, aby ktoś obcy spojrzął na nasze relacje z boku, córeczko moja, kochana.

16. Pogubiłam się!

Myślała o Arturze i Danielu, na przemian.

O Arturze, bo nie mogła pojąć, dlaczego nagle w stosunku do niej zmienił front. Przecież był miły i przyjaźnie nastawiony, otwarty na rozmowę, a potem nagle rach-ciach, chłód, nawet totalna zimnica, dystans, wyliczanie minut. Chciałaby wiedzieć, co zdecydowało o tej zmianie, ale nie potrafiła znaleźć odpowiedzi bez szczerzej rozmowy z Arturem, o którą prosić teraz nie miała odwagi. Naprawdę polubiła Artura jako aktora i chciała go nadal podziwiać na scenie, ale jak podziwiać kogoś, kto dał jej całą rękę, a potem wydzielił mały palec. Drzazga została wbita i niełatwo się będzie jej pozbyć.

W podobnym tonie roztrząsała relację z Danielem. Zawsze uczynny, chętny do rozmów, nawet nadskakujący i... nagle milczący, odpowiadający na kilkudzaniowy e-mail jednym grzecznościowym słówkiem. Dlaczego w krótkim czasie zmieniła się z Soni pogodnej w ponurą, z otwartej w zakleszczoną, co słusznie zauważyła jej matka, to też chciała zrozumieć.

Dzień był słonecznie marcowy, a ona ponuro listopadowa. W dodatku bez planu na dzisiaj, na jutro i na potem. Może i z tego powodu zgodziła się pójść na rozmowę do psychologa, a może i na terapię. Rodzice wzięli sprawę w swoje ręce i teraz niełatwo będzie się wymigać od ich pomysłów. Jeszcze kilka dni przed siedemnastymi urodzinami wiedziała, że chce studiować dziennikarstwo. Porzuciła poprzednio deklarowaną psychologię, bo znalazła własną ścieżkę. A teraz nie wiedziała, czego chce, jakby doświadczenia ostatniego miesiąca odebrały jej wiarę nie tylko w sens własnych wyborów, ale i w siebie, bo przestała rozumieć swoje decyzje. A przecież w środku była tą samą Sonią, która ma dobry dom, troskliwych rodziców i babcię oraz fajną siostrę.

Wiedziała, że psycholog nie jest od tego, by mówić jej, co ma zrobić ze swoim życiem, ale od tego, by zadać odpowiednie pytania, na które ona spróbuje odpowiedzieć, analizując swoje myśli i uczynki, jak

zwykła mówić babcia. Rozmyślała też o tym, by napisać do Artura i przeprosić go, ale nie wiedziała, jak to zrobić, by jeszcze bardziej się nie pogążyć. Do Daniela też miała ochotę zadzwonić, ale kiedy trzymała telefon w ręce i wybierała jego imię, rezygnowała, nie wiedziała, co powiedzieć, aby nie zabrzmiało, jakby się narzucała lub o niego zabiegała.

Jestem w potrzasku, pomyślała, i ucieszyło ją znalezienie właściwego słowa określającego jej samopoczucie. Ale bynajmniej od tego dzień nie stał się lepszy, a myśli jaśniejsze. Zgodnie z prawami Murphy'ego, które lubił cytować Daniel: „nic nie jest tak proste, jak się wydaje”, a „każde rozwiązanie rodzi nowe problemy”. Przeglądała gazety, które czytali rodzice, i nie znalazła w nich nic ciekawego dla siebie. Nic też jej nie zainteresowało w kolorowych pismach, choć chwilę zatrzymała się przy artykule „Jak sobie radzić z zazdrością”. Przebrnęła przez dwa akapity i odłożyła, bo rzecz dotyczyła zdrad małżeńskich.

Stała przed półkami książek w salonie. Zobaczyła tę, którą polecali rodzice, *Mieć czy być*, ale nawet jej nie dotknęła. Przemykała oczami po tytułach, kolorowych grzbietach i nic jej nie kusilo. Na stoliku przy kanapie leżały trzy równo ułożone piloty. Jeszcze niedawno ucieszyłaby się, że ma je tylko dla siebie, i Aniela nie dorwie się do nich, by przełączyć na swój program. Już wychodziła, kiedy zauważyła otwartą książkę położoną grzbietem do góry. Był to tomik poezji Wisławy Szymborskiej czytany zapewne przez ojca, który nie dość, że interesował się filozofią, to także poezją, jak na matematyka przystało, co często powtarzała mama.

Zerknęła. Przeczytała: „Życie na poczekaniu. / Przedstawienie bez próby. / Ciało bez przymiarki. / Głowa bez namysłu”. To o mnie, pomyślała, więc przysiadła w fotelu i przeczytała do końca. Książkę zabrała na górę, do siebie. Położyła po prawej stronie biurka z zamiarem, że będzie czytać, ale najpierw zajrzy na fejsa, by sprawdzić, co się dzieje wśród znajomych i czy dostała interesujące zaproszenia do zawarcia kolejnych znajomości. Miała siedmuset osiemdziesięciu pięciu znajomych, nie tylko z Polski. Wśród obserwujących sto osiemdziesiąt osób. Podglądała, komentowała, starała się być dowcipna.

Ewelina lansowała się w nowych kolczykach w nosie i bransoletach z ćwiekami krzyczącymi: „Mam gdzieś tych, którzy chcą, abym ubierała się w różowe koronki!”. Miała już ponad dwieście lajków i ponad czterdzieści komentarzy, Karol od kilku dni nie zamieścił ani jednego wpisu. Daniel także.

Justyna napisała: „Sonia wpadła pod samochód, jest poobijana, ale skończyło się dobrze, nawet bez złamań”. Kilkunastu znajomych załajkowało tę wiadomość, komentarzy było więcej, wśród nich i taki: „Żyje? To co to za nius?”. Karol zapytał: „Jest w domu?”, ale Justyna nie odpowiedziała. Ktoś (znajomy znajomego) wkleił serduszko, inny uśmiechniętą buźkę, co mogło być interpretowane dwojako: że się cieszy z wypadku albo z pomyślnego finału.

Na jej stronie przybyło komentarzy pod linkiem z blogiem o Arturze, ale Sonia ich nie czytała. Justyna wkleiła jej czerwoną różę z życzeniami: „Trzymaj się”. Załajkowali to Karol, Daniel i jeszcze kilka osób z klasy. Nikt do niej nie zatelefonował prócz Justyny. Wydawało jej się, że ma więcej dobrych koleżanek i że w klasie jest lubiana, a nawet podziwiana, przynajmniej tak było wówczas, kiedy spotykała się z Karolem.

W skrzynce odbiorczej były dwa e-maile, nie licząc reklam kosmetyków, ubezpieczenia samochodu, wyjazdu na wakacje i diet odchudzających. Najpierw otworzyła list od Daniela.

Jak się czujesz?

Ucieszyło ją to pytanie, ale nie zdobyła się na nic więcej poza krótką odpowiedzią:

Świetnie.

Kolejny list, z obcego adresu, zawierający załącznik, napisany był przez agentkę Artura. Sonia, otworzywszy, zobaczyła, że jest napisany na papeterii z firmowym nadrukiem agencji. Przeczytała go kilka razy, jakby nie była pewna, czy właściwie rozumie oficjalnie brzmiącą treść:

Szanowna Pani,

w imieniu pana Artura Gotza zwracam się z prośbą o usunięcie

z bloga, który Pani prowadzi, a także z profilu na Facebooku, treści sugerujących intymność Państwa relacji. Mam nadzieję, że zaistniała sytuacja to nieporozumienie wynikające z dwuznaczności i drobnego przeinaczenia słów, a także z niedopowiedzeń komentujących zamieszczone zdjęcia. Zakładam, że nie jest to wynik Pani złej woli ani celowa manipulacja, ale jedynie nieporozumienie związane z tabloidalną modą na ujawnianie prywatności osób odnoszących sukcesy.

Ufam, że ta prośba, wysłana drogą nieoficjalną, spotka się z Pani aprobatą. Jeśli nie, zmuszona będę wkroczyć na oficjalną drogę, przywołując odpowiednie paragrafy.

Z szacunkiem

Anna Waliszewska

Agencja Artystyczna „Tu i Teraz”

Tego się nie spodziewała. Najpierw siedziała przez godzinę jak zahipnotyzowana, prawie bez ruchu. Potem przeczytała dokładnie to, co napisała do Artura i w sieci. Nie była bez winy. Właściwie to wiedziała o tym od początku, ale przemożna chęć, by zaimponować znajomym, przynajmniej tym, którzy ją krzywdzili, była tak wielka, że straciła czujność, wmawiając sobie, że przecież nic złego się nie dzieje.

Próbowała odpisywać na list agentki w podobnie oficjalnym tonie, ale każde słowo brzmiało głupio, każde zdanie wydawało jej się napuszone, jakby to nie ona pisała. Za nią nie stały: urząd, kancelaria, agencja, nic, co dodawałoby jej powagi. Nie chciała popełnić kolejnego głupstwa, bo nikt by go już nie potraktował jako gafę, nie chciała pograć się jeszcze bardziej.

Dochodziła czternasta. Aniela zaraz wróci ze szkoły, babcia zawoła na obiad, może zatelefonuje Justyna, a ona nie wie, jak z tego wybrnąć, co napisać, jak się wytłumaczyć.

Miała ochotę wejść do szafy, jak to robiła w dzieciństwie, kiedy bawiła się w chowanego, zaplatać się w sukienki mamy i przeczekać

najgorsze.

Dotknęła w telefonie imienia Daniela, odczekała kilka sygnałów, licząc się z tym, że rozmowa zostanie odrzucona. Daniel odebrał zdyszany.

– Jak dobrze, że odebrałeś, dziękuję.

– Poczekaj, poczekaj, tylko położę siaty z zakupami. Jak ci tam? Jak się czujesz?

– Świetnie, to znaczy... fatalnie. Pogubiłam się, całkiem się pogubiłam i zupełnie nie wiem, co mam zrobić – głos jej zadrżał i wzięła głęboki oddech, aby się nie rozpłakać.

– Coś ci powiem: nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej, więc jeśli zechcesz porozmawiać, to coś wymyślimy.

– Prawo Murphy'ego?

– To akurat sam wymyśliłem.

– I nie gniewasz się na mnie?

– Dlaczego tak pomyślałaś?

– Bo nagle stałeś się inny.

– Po prostu nie chciałem się narzucać, czułem, że opędzasz się ode mnie jak od namolnego komara.

Wyobraziła sobie brzęczącego komara, od którego się opędza, i poczuła się luźniej, jakby nieco popuściła pętla zaciskająca się na jej szyi. Była to pierwsza rozmowa od tygodnia albo i dłużej, podczas której nie czuła, że zagraża sama sobie. Nawet przy Justynie była bardziej spięta. Stała teraz przy oknie z roletami spuszczoneymi do połowy i wystukiwała rytm kapciem wedle melodii kompozycji własnej. Patrzyła na drzewo w ogrodzie, jakby zobaczyła je tam po raz pierwszy albo jakby wyrosły na nim pomarańcze. Podskakiwała, by je dosięgnąć, zapępiała nimi wiklinowy kosz, wносиła do domu pełnego uśmiechniętych i życzliwych ludzi, nie tylko domowników. Częstowali się, smakowali, a zapach soczystych pomarańczy wypełniał cały dom.

– Co tak cicho się zrobiło? Jesteś?

– Tak, tylko się rozmarzyłam.

– O komarach?

– O komarze i pomarańczach. Aż oczu mi się nie chce otworzyć, bo się boję, że znikną ogród i słońce.

- O, widzę, że rozpoczynasz nowe życie.
- Chciałabym, bo ze starym mi bardzo źle. Nie chcę już niczego komplikować. Gdyby tak można było wymazać dni jak linijki zapisane ołówkiem w zeszycie.
- Wymazać się nie da, ale można to, co było, przerobić jak zaległą lekturę i odfajkować.
- Odwiedzisz mnie? – zmieniła temat i na wszelki wypadek usiadła, bo a nuż Daniel by odmówił.
- W domu?
- Tak, przecież jestem w domu, czemu się tak dziwisz?
- Bo zapraszasz mnie tak zwyczajnie, po ludzku, po raz pierwszy, no i... się cieszę.
- Usiadłeś?
- Nie. Stoję jak wryty, zamurowało mnie.

17. Prostowanie ścieżek

W drzwiach stanęła zapłakana Aniela. Włosy miała zmierzwione, oczy zapuchnięte i czerwone, kurtkę rozchełstaną. W jednej ręce trzymała dopiero co zdjętą czapkę, w drugiej plecak. Zabłocone buty zostawiły ślad na jasnej podłodze.

– Co się stało? – Sonia zapytała tak głośno, że aż przeraziła się swojej reakcji.

– W szkole mówią, że chciałaś popełnić samobójstwo i specjalnie rzuciłaś się pod samochód, bo ten aktor, za którym szalejesz, cię nie chce.

Aniela zsunęła się po futrynie, usiadła na podłodze i rozpłakała się od nowa. Wyglądała jak mała skrzywdzona dziewczynka, której zawalił się świat.

– To nieprawda, to nieprawda. – Sonia przytuliła siostrę, usiadłszy obok niej. – Nigdy bym tego nie zrobiła ani tobie, ani rodzicom, ani sobie, ani babci, to nieprawda, to był wypadek, bo się zagapiłam. Nie słuchaj tych głupot, słyszysz? Jesteś moją najukochańszą siostrą, obiecuję, że będę uważać, i przepraszam, że przeze mnie płaczesz.

Sonia tuliła siostrę, kołysząc ją w ramionach zwyczajem mamy, która podobnie je uspokajała, kiedy wydarzyło się coś smutnego. Coś kłuło ją w sercu, jakiś nagły przyptyw rozrastającej się dobroci, której brakuje miejsca, więc chce się wydostać na zewnątrz. Kochała siostrę, a jednak do tej pory nie obejmowała jej tak zwyczajnie i nie kołysała. Nie mówiła też tego, co teraz:

– Kocham cię, siostrzyczko moja, nie płacz, będzie dobrze.

Aniela powoli się uspokajała, oddech jej się wyrównywał. Sonia pomyślała, że jeszcze chwila, a siostra zaśnie.

– Masz chusteczkę? – Aniela zapytała przerywanym głosem, z którego ulatywały resztki łkania.

– Dla ciebie choćby i całą paczkę chusteczek.

– To daj, bo ci bluzkę zafajdałam.

Obie się porządnie wysmarkały. Aniela wstała, zapięła kurtkę,

włożyła czapkę.

– No to teraz pójdę im skopać tyłki.

– Komu?

– Najbardziej to tym małpom z naprzeciwka, Kaśce i Baśce, bo to one najgłośniej rozpowiadały.

– Wiesz co, mam inny pomysł, tym razem im darujesz, to przecież znudzone pańcie, które nie mają własnych spraw, więc żyją naszymi. Spuśćmy na to zasłonę, jak wodę w klozecie, co ty na to?

– To chociaż im głupiego SMS-a wyślę.

– Kochana, dasz im satysfakcję, będą tym bardziej plotkować, mówię ci, obojętność jest najlepszym rozwiązaniem, nie będą miały pożywki, to zajmą się czymś innym.

Mówiła słowami matki, od których się nieraz opędzała jak od natrętnej muchy. Jak od komara, poprawiła się, przypominając sobie rozmowę z Danielem. Problemy lepiej rozwiązywać, choć można je też omijać lub przeskakiwać – to też słowa matki, która odżegnywała się od prawienia córkom kazań, bo i tak puszczały je mimo uszu. A jednak coś pozostawało i terkotało znajomym brzmieniem, w dodatku nabierało sensu przystawione do konkretnej sytuacji.

Usiadła przy biurku z postanowieniem, że nie odejdzie, dopóki nie odpowie na list agentki Artura. Już nie siliła się na oficjalny ton, napisała spontanicznie:

Szanowna Pani,

przepraszam, przesadziłam, jest mi bardzo przykro, że nadużyłam zaufania pana Artura. Szukałam dla siebie usprawiedliwień, nawet chciałam się nimi podzielić, ale to nie ma sensu, więc tylko przepraszam. Poblądziłam. Moja wina. Oczywiście z bloga kasuję fotki z dwuznacznym komentarzem, także z Facebooka. Resztę zostawiam, bo mam nadzieję, że w przyszłości zechcę się dzielić wrażeniami z koncertu czy spektaklu. Będę wdzięczna, jeśli Pani przekaże te słowa panu Arturowi.

Sonia Szarko

Postąpiła, jak obiecała. Od razu zrobiło jej się trochę lżej, choć do wyprostowania ścieżek droga była daleka, bo nic nie jest tak proste, jak by się chciało. Nie tak łatwo z dnia na dzień pozbyć się żalu, spojrzeć w oczy wrogom, bo ciągle tak traktowała Karola i Ewelinę. Poza tym jak spojrzeć w oczy koleżankom, które chcą w niej widzieć samobójczynię? Czekał ją komisariat policji, gdzie miała przyjść z rodzicami, podpisywanie zeznania z miejsca wypadku. Także nadrabianie opuszczonych lekcji, poprawianie ocen, do tego rozmowa z psychologiem, może terapia. Miałyby co robić, gdyby tylko chciała się zaangażować.

Ratowało ją zwolnienie lekarskie do końca tygodnia. Brakowało planu dnia, który zawsze lubiła mieć. Aniela odrabiała lekcje, z kuchni dolatywał zapach gotowanego obiadu, jakby zapiekanki ziemniaczano-jarzynowej z serem, co bardzo lubiła. Zeszła na dół, by sprawdzić. To, co zobaczyła, wydało jej się nieprawdopodobne, a przynajmniej niepodobne do babci i cioci. Obie kobiety nachylały się nad stołem, dotykając głową o głowę, jakby wczytywały się w przepis sprzed stu lat ze starej księgi kucharskiej.

– Co tak czytacie namiętnie, babcie?

– Ależ mnie wystraszyłaś – powiedziała ciocia.

– No i wydało się, nakryłaś nas na niecnym procederze. – Babcia złapała się za serce.

– Niesamowite! Babcie nad tabletem? Na fejsie? A kto ciągle powtarza, że to strata czasu? – Sonia bardziej udawała, że kpi, niż rzeczywiście to robiła. – I jak się panie teraz wytłumaczą? – Grała zgorszona.

– To moja wina – powiedziała skruszona ciocia Rena, próbując zamknąć uruchomione aplikacje na tablecie. – To ja wpadłam na pomysł, byśmy sobie kupiły tablet, aby zobaczyć, co tak młodych kręci.

– No i wpadłyście jak śliwki w kompot! – Roześmiała się Sonia. – Mogę wam udzielić korepetycji, bo jestem pełna podziwu! Mieć babcie otwarte na świat to powód do dumy.

– Naprawdę tak myślisz, Soniu? – Ciocia Rena od razu poczuła się żwawiej i już uruchamiała tablet ponownie. – Bo wiesz, dla mnie to ósmy cud świata, w końcu ja się wychowałam na radiu, a telefon

stacjonarny to był kiedyś jeden na całej ulicy.

– We wszystkim pomogę, naprawdę, i Aniela pomoże, na pewno też się ucieszy.

– Lepiej nam powiedz, jak się czujesz, bo bardzo się o ciebie martwimy, kruszynko.

– Kruszynka pójdzie na spacer i po drodze może zrobić zakupy, tylko proszę mi dać listę.

– To świetny pomysł, powinnaś częściej wychodzić z domu, do ludzi, do koleżanek, kolegów.

– Dzisiaj to do mnie przyjdzie kolega z klasy.

– Czy to ten przystojniak, który ci przyniósł różę na urodziny?

– To on jest przystojny? Nigdy tak na niego nie patrzyłam, dziewczyny raczej za nim nie szaleją.

– Bardzo przystojny, w dodatku w przedwojennym stylu – westchnęła ciocia Rena. – Nie szaleją za nim, bo to żaden fircyk, wygląda przecież na mądrego i odpowiedzialnego młodzieńca.

Sonia miała wielką ochotę uściślić, na czym polega przystojność i „przedwojenność” Daniela, ale zrezygnowała, bo jeśliby dopytywała, to i babcie ciągnęłyby ją za język.

– Ładnie się ubrałaś – powiedziała babcia.

– To tak na przekór marcowi, byle szybciej przyszła wiosna. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością, bo nie pamiętała, kiedy ktoś jej powiedział, że dobrze wygląda.

Rzeczywiście, w beżowych spodniach i zielonej bluzie wyglądała świeżo i niewinnie. Włosy umyte rankiem rozsypywały się niesfornie, zielonoszare oczy i czoło bez chmury sprawiały wrażenie, jakby młodość oznaczała brak trosk. Na wierzch włożyła kurtkę w kolorze zielonego groszku, hit sezonu, na głowę – czapkę z pomponem w kolorze latte.

Wiał wiatr, ale ani trochę jej to nie przeszkadzało. Szła powoli, z podniesioną głową, uśmiechała się do siebie, jakby w Biedronce, gdzie chciała zrobić zakupy, czekała na nią dobra wróżka z czarodziejską różdżką, która jednym machnięciem wyczarowałaby może nie karocę z dyni, bo na cóż ona Soni, ale przynajmniej jedną podpowiedź, czym teraz powinna się zająć, aby nabrać wigoru i zobaczyć sens w każdym poranku.

Była szczęściarą, bo mogła teraz leżeć w szpitalu z połamanymi nogami, rękami, rozbitą głową. Mogło jej też wcale nie być. Zniknęłyby wprawdzie problemy, ale też nie doświadczyłaby już niczego, co pozwoliłoby jej uwierzyć, że życie jest przygodą, która może zachwycać i boleć, i nigdy nie wiadomo, jaki krąg zatoczy nasza pomyłka czy nawet upadek, a kiedy szeroko otworzymy oczy, zobaczymy codzienność taką, jaka jest, a nie jaką chcielibyśmy widzieć.

Od dawna nie myślała tak pozytywnie. Zasłużyła na lody z bitą śmietaną i syropem truskawkowym. W sklepie od razu podeszła do zamrażarki z lodami, wybrała waniliowe i czekoladowe, bo Aniela takie właśnie lubiła najbardziej. Do koszyka włożyła też śmietankę trzydziestoprocentową, paczkę mrożonych truskawek i małe pudełko świeżych, hiszpańskich, które nie pachną tak truskawkowo jak polskie, czerwcowe, ale zawsze to coś. W ostatniej chwili spojrzała na listę zakupów, dołożyła więc do koszyka biały ser, rukolę, zieloną cebulkę, rzodkiewki i jajka.

Rozglądała się jeszcze po koszach z drobiazgami, kiedy usłyszała znajomy głos. Odwróciła się powoli, gotowa na ostre ścięcie.

– O, widzę, że żyjesz i zdrowo się odżywasz? – Ewelina kpiąco lustrowała ją z góry na dół.

– Nie tak łatwo się mnie pozbyć, jak niektórzy by sobie życzyli – Sonia odpowiedziała z lekkim przekąsem, ale całkiem spokojnie.

– Taka podła nie jestem, by ci życzyć najgorszego, wystarczy mi to, że z Arturkiem ci nie wyszło.

Tym razem serce Soni zabiło gwałtowniej, ale nie dała się sprowokować. Odgarnęła kosmyk spadający na oczy i się uśmiechnęła.

– Co miało się udać, to się udało, Ewelinko, jestem zadowolona, jak zresztą widzisz. – Celowo zdrobniła imię i nawet nie wysilała się zbytnio, by koleżanka poczuła sztuczną słodkość w głosie.

– Karolowi nie zależy ani na tobie, ani na mnie, więc w sumie to nie mam do ciebie żalu. – Ewelina próbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego grymas.

– Och, on sam nie wie, czego chce, mówił mi o tym ostatnio – Sonia skłamała. – W sumie to fajnie, że wyciągasz rękę na zgodę, szczerze mówiąc, to wołałabym z tobą nie rywalizować.

– He, he, no jasne, bo nie masz szans, jeśli chodzi o chłopaków. – Ewelina roześmiała się sztucznie. – Żartuję, mamy całkiem inny gust, więc nie musimy sobie skakać do oczu, no nie?

– Spoko, fajnie, że tak myślisz... No to biegnę, bo babcia czeka na zakupy.

– O matko, babcia czeka, też coś, na pewno czeka z obiadem. – Ewelina wywróciła oczami, chcąc w ten sposób zaakcentować swoją dezaprobatę dla rodzinnych posiłków.

Po drodze do domu Sonia układała sobie plan na popołudnie. Zje obiad, ubije śmietanę do lodów, poczęstuje nimi nie tylko Daniela, ale i całą rodzinę, wreszcie przeczyta *Makbeta*. To był znak, że codzienność nabierała rytmu, choć jeszcze daleko jej było do dawnych sensów.

Drzwi otworzyła jej Aniela, wyraźnie podekscytowana.

– Co ty, całą Biedronkę chciałaś wykupić?

– Oj tam, spotkałam Ewelinę i sobie pogadałyśmy od serca.

– Żartujesz?!

– Żartuję, z nią się nie da od serca.

– Daniel zagaduje babcie w kuchni.

– Już przyszedł?

– Umówiłaś się po lekcjach, a jest prawie trzecia.

– Trochę się zagapiłam w sklepie, przepraszam – powiedziała od progu.

Daniel siedział przy kuchennym stole. Musiał zrobić na babciach dobre wrażenie, sądząc po ich zadowolonych minach. Wstał, kiedy Sonia weszła. Miał na sobie czarną koszulę z kieszeniami po obu stronach i z pagonami. Tworzyła miły dla oka komplet z jasnoszarymi sztruksami w drobne prążki. Odebrał od Soni siatki z zakupami i położył na kuchennym blacie, obok zlewozmywaka.

– Ależ się wystroiłeś, jak na randkę – powiedziała i ugryzła się w język, czując, że było to zbyt wiele sugerujące porównanie.

– Kupiłaś moje ulubione lody – Daniel zręcznie zmienił temat.

– Chciałam cię nimi poczęstować, ale jakoś mi się wydawało, że przyjdiesz później.

– Aha, więc lodów nie dostanę, bo przyszedłem punktualnie? – zażartował.

– Najpierw obiad, potem deser, Soniu, rozłóż talerze – zarządziła babcia.

– Trzy talerze, tylko dla was, bo my zjemy później, z rodzicami, dzisiaj tylko zapiekanka, ale za to w dużej ilości, jak dla pułku wojska – podpowiedziała babcia, która zauważyła wahanie Soni.

– To świetnie, że mogłem się wprosić na obiad, bo uwielbiam takie zapiekanki – zagadywał Daniel.

– Nie podlizuj się, lody i tak dostaniesz – wtrąciła Sonia.

– A teraz zagadka z działu dobrego wychowania. – Aniela rozsiała się za stołem na swoim miejscu, obok niej klapnął Daniel.

– Od kiedy ty się przejmujesz savoir-vivre'em, siostrzyczko?

– Chciałabym dobrze wypaść przy Danielu. Oto mój problem: czy telefon komórkowy kładzie się po prawej stronie, przy łyżce i nożu, czy po lewej, przy widelcu?

Wszyscy roześmiali się zgodnie, a Aniela poczuła się najważniejszą osobą przy stole, więc rozgadała się na dobre, nikogo nie dopuszczając do głosu. Soni to było na rękę, Danielowi też, choć zapewne z innego powodu. Jadł w skupieniu, przytakując opowieściom Anieli.

– Masz poczucie humoru – podsumował. – Powinnaś założyć własne pismo satyryczne.

Anieli oczy się roześmiały, jakby znalazła najlepszy pomysł na swoje nastoletnie życie.

– To jest genialny pomysł, ale skąd wziąć rysownika, bez rysunków przecież ani rusz – snuła plany, zbierając ze stołu naczynia i wkładając je do zmywarki.

– Zbieraj albo wymyślaj dowcipy, to i rysownika znajdziemy – Daniel pocieszył ją pewnym głosem.

– To teraz chodźmy na górę, bo Aniela nas zagada na amen – zaproponowała Sonia.

Daniel zapewnił obie babcie, że obiad był wyśmienity i dawno takiego nie jadł.

– A propos pisma, mam nowy numer naszej gazetki. – Wyszedł do przedpokoju i wrócił z wypchaną torbą, z której wyciągnął kilka numerów. Dwa położył na stole i od razu pochyliły się nad nim obie

babcie. Aniela wzięła egzemplarz i w podskokach pobiegła na górę.

– A lody? – upomniał się Daniel.

– Będą, będą, wypijmy najpierw w spokoju kompot z naszych ogrodowych wiśni, zabierz szklanki na górę, a ja wezmę gazetę.

Sonia rozłożyła pismo na biurku, wyszukała swój wywiad i zaczęła czytać. Daniel usiadł obok i rozglądał się po pokoju. Podszedł do półki z książkami i studiował tytuły, jakby chciał sprawdzić, czy pasują do Soni. Zauważył tomik wierszy Wisławy Szymborskiej z zakładką.

Otworzył i przeczytał:

Stoję wśród dekoracji i widzę, jak są solidne.

Uderza mnie precyzja wszelkich rekwizytów.

Aparatura obrotowa działa od długiej już chwili.

Pozapalane zostały najdalsze nawet mgławice

Och, nie mam wątpliwości, że to premiera.

I cokolwiek uczynię,

zamieni się na zawsze w to, co uczyniłam.

– Czy zagłędałaś dzisiaj na stronę Artura? – zapytał, jakby nagle nabierając odwagi i przerywając Soni lekturę gazetki.

– Nie jestem maniaczką, by codziennie ją studiować.

– Szkoda.

– Jak to szkoda?

– Tak to. Bo gdybyś zajrzała, tobyś zobaczyła, że Artur zamieścił ten wywiad, podając tytuł naszej gazetki i dziękując ci za wnikliwość pytań.

– No co ty?! – Ucieszyła się, odkładając pismo i otwierając laptop, by potwierdzić słowa Daniela.

– Soniu, poczekaj chwilę – próbował ją oderwać od komputera. – Poczekaj, proszę – powtórzył. – Mam pytanie.

Podniosła głowę znad ekranu zaniepokojona poważnym tonem Daniela. Był skupiony, ale jego mina nie zapowiadała nic niepokojącego. Uśmiechał się zawadiacko, jakby zamierzał obwieścić kolejną dobrą nowinę.

– No, pytaj – zachęciła go.

– Czy ty go kochasz?

– Kogo? – zapytała nieśmiało, bo ani się spodziewała takiej zmiany nastroju, ani miała ochotę na zwierzenia.

– Artura – powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

– Chyba zwariowałaś... ja tak łatwo się nie zakochuję – zaakcentowała słowo „łatwo”.

– To akurat wiem – odetchnął i wyraźnie poweselał. – Bo mam jeszcze jedną niespodziankę, dwa bilety na spektakl *Piaskownica* z Arturem Gotzem w roli głównej.

– Naprawdę? – Patrzyła na bilety z niedowierzaniem. – Zaraz ci zwrócę pieniądze.

– Soniu, to prezent. Wysłałem panu Arturowi naszą gazetkę, napisał, że zaprasza na spektakl, który będzie grał za dwa tygodnie, w Old Timers Garage, i że bilety tam na nas czekają, więc odebrałem. A zatem to prezent od Artura. Pomyślałem, że się ucieszysz i pójdziemy razem. Pamiętasz, obiecałaś mi kiedyś, że pójdziemy?

– Pa-pamiętam – zająknęła się i ukradkiem wytarła łzę, która zapodziała się w kąciку prawego oka, a była to łza radosna, nawet bardzo radosna.

Podziękowania

Dziękuję Arturowi Gotzowi, który zgodził się wystąpić w powieści pod swoim imieniem i nazwiskiem. Dziękuję również Andrzejowi Dopierale, twórcy Teatru Bez Sceny, i jego żonie, Ewie. Zaufanie, którym zostałam obdarowana, było dla mnie krzepiące.

Fabula powieści jest fikcją literacką.

Opisane wydarzenia są prawdopodobne, co znaczy, że wydarzyć się mogły, choć nie musiały.

Marta Fox

A black and white close-up portrait of a man with short, light-colored hair, looking directly at the camera with a slight smile. The image is framed by a dark border with a diagonal split effect.

ARTUR GOTZ

MĘŻCZYZNA PRAWIE IDEALNY

PRAWDZIWE MĘŻCZYZN HISTORIE W PIOSENKACH SATYRYCZNYCH

słowa i muzyka: AGNIESZKA CHRZANOWSKA

Oficjalna strona artysty: www.arturgotz.pl
Album do nabycia w dobrych sklepach muzycznych

Autor zdjęcia: Marcin Brzózka
Projekt okładki płyty: Paweł Łęczycki

